Part Code
ST1316

R G B WH GR BL

Grey Scale #13

C M Y K

DANES PICTA .COM

A 1 2 3 4 5 6 M 8 9 10 11 12 13 14 15 B 17 18 19

Colour Chart #13

Blue Cyan Green Yellow Red Magenta White 3/Color Black

Inches 1 2 3 4 5 6 7 8

Centimetres 1 2 3 4 5 6 7 8 9 10 11 12 13 14 15 16 17 18 19

DANES PICTA .COM

1502
2374

DWA WIECZORY

PANI STAROŚCINY OLBROMSKIÉJ.

BIBLJOTEKA ŻOŁNIERSKA

DWA WIECZORY

Pani Starościny

OLBROMSKIÉJ,

opisał

X. STANISŁAW CHOŁONIEWSKI.

CZYTELNIA KRAKÓW BRACKA 5. CHARACEGO GUMPLOWICZA.
Biblioteka Ogniska L. 1108. Podofic. zaw. 5. pac

CZYTELNIA KRAKÓW BRACKA 5. CHARACEGO GUMPLOWICZA.

Wydanie Adama Zawadzkiego.

WILNO.

NAKŁADEM I DRUKIEM JÓZEFA ZAWADZKIEGO.

1845.

WOJSKOWA BIBLJOTEKA
5. PUŁKU ART. CIĘŻKIEJ.
L. ..... Inwent. 30/1.

Pozwolono drukować pod warunkiem złożenia po wydrukowaniu exemplarzy prawem przepisanych w Komitecie Cenzury.
Wilno 1843 r. 20 Maja.

Cenzor Jan Waszkiewicz.

559
Bibljoteka Ognis
L. 408.
Podofic. zaw. 5. pac
BIBLJOTEKA ŻOŁNIERSKA
6 P. A. 9

BRATU I PRZYJACIELOWI,

ściślejszém braterstwem serc

z sobą połączonemu,

Gabrielowi Rzyszczewskiemu,

NA PAMIĄTKĘ

WESOŁYCH CHWIL BŁOGIÉJ PRZESZŁOŚCI

poświęca

AUTOR.

3547

Bibljoteka Ogniska
L. ____
Podofic. zaw. 5

BIBLJOTEKA ŻOŁNIERSKA
S. P. A. C.

I.

PIÉRWSZY WIECZOR

Pani Starościny Olbromskiéj.

Wycofano, d. ..... 19 ...
z Wypoż. Książek A. Gumplowicza
w Krakowie, Bracka 9.

Biblioteka Ogni...
L. .....
Podolic. zaw 5. p...

BIBLJOTEKA ŻOŁNIERSKA
5 P. A. C.

I.

PIERWSZY WIECZÓR

Pani Starościny Olbromskiéj.

Dnia 19 listopada, r. 18..

Forsan et haec olim meminisse juvabit.

Powracając w jesieni r. 18.. z wód karlsbadzkich na Podole, przybywszy do Krakowa, przypomniałem sobie, żem był uroczyście przyrzekł złożyć moje uszanowanie JW. Starościnie Olbromskiéj. Bawiła ona podówczas w Krakowie po odbytéj kuracji karlsbadzkiéj, którą od lat trzydziestu z rzadką wytrwałością każdego roku o jednéj porze przedsiębierała i o jednéj porze kończyła.

Dębińska *), Starościna Olbromska, była wówczas siemdziesiąt-letnią czerstwą staruszką, wielce miłéj twarzy i wesołych wielkich oczu, ostatnich żyjących świadków znikłéj urody. Cały zaś jéj strój, aż do najmniejszych szczegółów, był jakby żywcem przekopjowany z portretu któréj z naszych prababek, to jest: Starościna ani na włos nie zmieniła mody, która panowała wtedy, kiedy ona była panienką małoletnią. Widząc ją po raz piérwszy, rzekłbyś, że jedna z owych poważnych matron naszych za panowania Sassów wystąpiła z ram swojego obrazu i zasiadła w gronie modnie przybranych ludzi wieku naszego. Była to pani przytém niepospolitego umysłu, znajomości niezwykłych jéj płci, a w obcowaniu tak wyrozumiała i uprzejma, iż nie było wieku, stanu i humoru, do któregoby się ona nie potrafiła zastosować; a co podobno najbardziéj jednało jéj serca wszystkich, to, iż ta jéj prawdziwie staropolska grzeczność i gościnność, widocznie pochodziły z wyższych pobudek miłości chrześcjańskiéj. Daleka więc była od wszelkiéj zagranicznéj *szarmanterji* salonowéj, co jeno ma na celu sławę krotofilnéj gospodyni domu lub *protektorki* literatów, a których pełen jest terazniejszy świat na *krój francuzki* przerobiony. Z Dębińską, Starościną Olbromską, z Lanckorońską, Kasztellanową Połaniecką, i kilką innemi damami, z téj epoki poszła już do grobu owa powaga matrony polskiéj,

*) Z domu Morsztynówna.

pełna wdzięku, co nie jest sztywnością z dumy pochodzącą, lecz jakoby wspaniałą szatą wstydliwéj, skromnéj duszy, któréj nieodstępną towarzyszką była nieudana wesołość umysłu niezwalczonego wiekiem. Nawet tradycja takich charakterów narodowych wkrótce między nami już zgaśnie.

Mieszkała podówczas Starościna Olbromska w kamienicy *) na rynku *Pod Baranami* zwanéj. Przybywszy tam wieczorem dnia 19 listopada, zastałem gospodynię domu przy małym stoliku grającą *w marjasza w pulę* z JW. X. Kustoszym Koronnym Sierakowskim, z Przybylskim, Dziekanem fakultetu filozoficznego Jagiellońskiego uniwersytetu, i z P. Sołtykowiczem, znakomitym professorem tejże głównéj szkoły. Przy drugim stole siedziała, zabawiając się damską robotą, JW. Czacka, Starościna Nowogródzka, córka Pani Olbromskiéj, w towarzystwie P. Szambellana Ż ....trochę podżyłego eleganta, i P. Jaxę Marcinkowskiego, Wołynianina, niepospolitego miłośnika literatury; a P. Professor Szopowicz, biegły matematyk, staruszek czerstwy, przechadzał się po pokoju niespokojnym krokiem.

Przywitany od gospodyni zzwykłą łaskawością, pytany byłem długo i poszczególnie o różnych naszych wspólnych znajomych; z któremiśmy lato w Karlsbadzie spędzili; Starościna bowiem kilką nie-

*) Własny jéj dom przy ulicy Święto Jańskiéj nie wiém dla jakich przyczyn nie był podówczas przez właścicielkę zamieszkałym.

dzielami przede mną wody karlsbadzkie opuściła.

W sali, obok bawialnego pokoju, wielka, wesoła wrzawa panowała. Liczna gromada dzieci obojéj płci spokrewnionych rodzin krakowskich z JW. Olbromską bujała wśród najzaciętszéj *ciuciubabki*, po któréj następował *lis mruczek cenzurowany*, *gotowalnia*, a po nich znowu wracała pożądana *ciuciubabka*. Dla tego zaś w niespokojności przechadzał się JP. Szopowicz, człowiek dobrodusznego, lecz ponurego oblicza, że co chwila z hucznéj sali, jak błyskawica, wylatywała panienka, wysłana w poselstwie od grona dzieci, ażeby upragnionego od wszystkich Professora napędzić do *ciuciubabki*, mówiąc, że bez niego za nic im wszystkie zabawy, i porządku niéma. Professor czasem dawał się nakłonić, czasem też wyłamywał się z natręctwa panienek. Wszakże ilekroć z sali dziecinnéj wracał, mocno był rozdąsany: bo za każdą niemal grą wpadał w zasadzkę, i musiał, wedle przepisów, fanty dawać pannóm wzakład, tak, że mu już dzieci okulary, chustkę zatabaczoną, zegarek, klucz potężny od kwatéry, zgoła, wszelką przy nim będącą ruchomość zagrabiły. Lecz gdy przyszło nakoniec do oddania ogromnéj nakształt kuferka tabakiery, i jakieś dziesięcio-letnie zuchwałe dziewczę natarczywie o nią się dopominało, przebrała się miarka cierpliwości Szopowiczowi, i oburzony rzekł—

— A to tego jeszcze brakowało! Nie dam Pannie tabakiery!—

W nadziei zaś, że się uwolni od napaści w pobliżu P. Starościny Olbromskiéj, przysiadł pod opieką jéj powagi przy stoliku grających, a dziewczynka, strapiona cokolwiek, wnet uciekła do sali.

JW. Olbromska, którą małe wybryki młodzieży i wesołość dziecinna w najlepszy humor wprawiały, rada była tym szarmizlóm panienek z Professorem, luboć nie pokazywała po sobie, że na nie zważa; co jeszcze gorszy gniew wprawiło Professora. Siedząc, mruczał sobie pod nosem—

—Dziwna rzecz, że taka pani, jak Starościna, z taką indyfferencją znosi podobne excessa tych szalonych głów. —

Wtém ozwał się JW. Kustosz Koronny — Sześćdziesiąt marjasza! — JP. Szambellan Ż..., obróciwszy się do P. Czackiéj, rzekł —

Widziała też Acani Dobrodzika nowy powoz angielski Hr. Wielopolskiego? Cały okrągły doskonale, jak bomba, i wszystko w nim okrągłe: okna, tafle, kieszenie, materace, stopnie. Prześliczny i dokończony w najmniejszych swoich szczegółach, jak wszystko, co z londyńskich rękodzielni wychodzi, a nadewszystko niewypowiedzianie wygodny. —

— Owszem najniewygodniejszy, Mości Szambellanie! — przerwał mu Szopowicz z marsem — bo na to, żeby powoz zupełnie sferycny był wygodnym, trzeba żeby człowiek, co ma do niego wsiadać, był także cały kształtu bomby, albo żeby mógł się

w kłębek zwijać, iak jeż. Póki więc to nie będzie w mocy człowieka, powoz ten zawołany Hr. Wielopolskiego będzie jeno *mirabilis bombarda*, i nic więcéj. Lecz dla takiego eleganta, jak P. Szambellan, wszystko przednie, wygodne, doskonałe, dla tego jedynie, że modne.—

Szambellan. Ale, kochany Professorze, jużci też każda moda musi mieć cóś rozumnego w sobie, kiedy ona panuje tak despotycznie nad staremi i młodemi, nad światłemi i przesądnemi.— I Szambellan przygryzł szyderski uśmiech na wargach.

Szopowicz. Wieleby o tém mówić, Panie Szambellanie, o tym rozumnym despotyzmie mody! To nie jest materja do salonowéj rozmowy, lecz do poważnéj rozprawy. Wiém ja o jednéj... ale to rzecz niesmaczna, a komu mogłaby się wydać jak paszkwil. Dajmy więc temu pokój.

— Mnie się także zdaje—rzekła Pani Starościna Olbromska, uśmiechnąwszy się—że to jest zagadka godna rozwiązania uczonych, ów despotyzm mody.— A potém obróciwszy się do Szopowicza, dalej się ozwała —

—Powiedz mnie np., kochany, uczony nasz przyjacielu, dla czego w teraźniejszym wieku tak często o słuch nasz obijają się te samowładne słowa: *teraz taka moda!* a tak rzadko, albo nigdy, owe wyrozumialsze: *teraz taki obyczaj*, albo *teraz taki zwyczaj*. Czy w traktacie jest reforma jaka *toaletowa*, czy-

li też literacka, filozoficzna, ba nawet i polityczna, wszyscy są zimni, obojętni, na słowa: *obyczaj*, *zwyczaj*, a ledwie nie każdy porusza się na słowo: *moda* — jeden z wstrętu, drugi z miłości, trzeci z obawy téj potęgi. Powtarzam więc: zkądże ten dezpotyzm mody, i co znaczy w krainie rozumu to słowo elektryzujące?—

A Professor ciągle milczał niczém nieporuszony, jak człowiek, który dobrze czuje, że byle tylko usta otworzył, wnetby lawa płomienistéj żółci széroko się rozlała, czegoby potém może żałował.

—*Ma chère maman!*—odezwała się JW. Czacka— już dawno ktoś dowcipnie nazwał opinję królową świata. Dzięki oświacie XIX wieku, królowa ta stała się wszechwładną, i słusznie, bo w jéj wysokiéj radzie zasiadają wszystkie piérwsze potęgi cywilizacji europejskiéj. Wszakże jako pani, a do tego rozumna i w rozmaitych naukach wyćwiczona, nie podobna, aby ona też czasem nie zrobiła czegoś, jak to mówią, po swojéj głowie, boć nie zawsze można wielką radę zwoływać. Musi więc ona mieć swoje własne genjalne pomysły. (Ktoś niegrzeczny nazwałby to może kaprysami damskiemi). Owoż wykonawczynią takowych *widzi mi się* téj pani świata jest moda, *prima cameriere* opinji panującéj.—

Szambellan. Ce que vous venez de dire Comtesse est parfait!—

P. Czacka (obracając się do Szopowicza). Cóż mi po

Biblioteka Wojsk. Akad.

twoim ślicznym komplemencie, Szambellanie, kiedy widzę, że nie przypada do smaku Professorowi moja definicja mody, a sam nic nie chce dziś mówić? To może nauczysz nas przynajmniéj, szanowny przyjacielu, co jest *obyczaj*, i jakie są jego stosunki ze *zwyczajem i modą*?

— Obyczaj — stary zrzęda, ozwał się głośno X. Kustosz Koronny, co tylko dawne czasy zachwala, a nowe potępia. Podług niego, jeśli mu Aśka dasz wiarę, wszystkie cnoty do grobu pójdą, skoro on sam powieki zawrze. Stary zrzęda, Mościa Dobrodziko, i nic więcéj! —

Wszyscy się rozśmieli, prócz Szopowicza, który ciągle milczał posępny i zimny, jak zaklęty człowiek przez czarnoksiężnika. A Pani Olbromska rzecze do X Kustosza Koronnego —

— Mój Kustoszu! jesteś wzorem prawdziwéj skromności: dałeś nam w niewielu słowach niby dokładną definicję obyczaju starego z zupełném wyzuciem się wszelkiéj osobistości. Toś mi *ale* filozof.

X. Kustosz. Prawdę mówię, i nic więcéj, Mościa Starościno! — Czy żołądź świeci u Jejmości Dobrodziki?

I daléj grali w marjasza.

Potém słodki Sołtykowicz tak przemówił —

— JW. Starościna acz wielce łaskawa na nas Pani, stała się dzisiaj przyczyną niemałego zamię-

szania, albowiem między nieprzygotowanych puściła kwestję filozoficzną, jak dzika między łowców bez strzelb i ładunków. O zgrozo! trzech tu nas jest akademików: *re*, *jure et nomine*, a jeden z nich Dziekan fakultetu filozoficznego; zapytano jednego z nich o definicję, a on zamilkł. Zabrakło akademikowi *in promptu* definicji! Słyszał kto kiedy o podobnym *szkandalu?* Musiały przyjść w pomoc niedostatkowi filozoficznemu trzech emerytów Jagiellońskiéj szkoły piękne i wymówne usta JP. Starościny Nowogródzkiéj. Niechże przynajmniéj szanowny nasz Dziekan raczy odpowiedzieć na zapytanie JW. Czackiéj: co jest *zwyczaj*? żebyśmy przecie jakkolwiek obronną ręką wyszli z téj zasadzki na naszę akademicką godność. —

Dziekan Jacek Przybylski, mąż obszérnéj nauki i erudycji, a przytém prostego, szczérego serca, jak dziécię, natychmiast poważnie odpowiedział —

— Każecie Państwo Dobrodziejstwo, abym myśl moję odkrył: jak mi się przedstawia *zwyczaj?* Spełniam rozkaz i utrzymuję, iż zwyczaj podobny jest do starego *szarmanta*, którego Francuzi zowią *un ci-devant jeune homme*, bo wszystkie jego posiada przymioty i defekta. Porządny jest, grzeczny, systematyczny, przywiązany do swoich dobrych lub złych nałogów, lecz przytém sztywny i trwożliwy, zwłaszcza w towarzystwie *ostatniéj mody*, lubo jéj

ciągle przypatruje się przez lornetkę z pewną zalotnością. —

Brawo! — krzyknęło całe towarzystwo — brawo! Dziekanie! Przedziwnie ci się udała definicja! — I szczérze się poczęli śmiać wszyscy, wyjąwszy Przybylskiego i Szambellana Ż..... albowiem kiedy mówił Przybylski, ciągle miał oczy wlepione w oblicze Pana Szambellana, jakby w niém czytał definicję swoję, ale ten bez żółci dobroduszny uczony człowiek żadnéj nie podlegał *malicji* w tém wszystkiém, co poczynał, jeno miał zwyczaj, kiedy co ważnego objaśniał, mocno wytrzeszczać oczy na piérwszy jakikolwiek przedmiot, który mu się nawijał. Dla tego też nie pojął powodu téj wesołości powszechnéj obecnych, równie jak jéj nie pojmował Szambellan; co tém pocieszniejszém było jeszcze dla wszystkich.

Wtém wpadła znowu z sali zadyszana, wesoła, raźna dwónasto-letnia dzieweczka, Marysia Czacka, wnuczka Pani Olbromskiéj, i już nie na ponurego Szopowicza, ale na samą Starościnę natarła odważnie z nawpół żałośną, nawpół figlarną twarzyczką.

— Babuniu najukochańsza! — rzekła — przychodzimy z ciężką skargą na Professora Szopowicza, który nas biédnych srodze zawiódł. Oto patrz, babuniu, wiele mamy fantów professorskich! — (Tu poczęła wyciągać z zawiniątka jeden po drugim sprzęty

professorskie: klucz potężny, zegarek, zatabaczoną chustkę, okulary) — a ostatniego fanta, tabakiery, nie chce nam dać. Wszyscy za swoje odbyli wiernie naznaczoną pokutę, a Professor, coby powinien dać dobry przykład nam, dzieciom, za żaden swój fant nie chce odpokutować. Niech babunia Dobrodzika sama naznaczy dobrą pokutę Professorowi, przynajmniéj za tę tabakierę, którą przy sobie niesprawiedliwie zatrzymał. Inaczéj, zobaczy babunia, będzie wielkie zgorszenie, i Szambellan nie zechce już spełniać poczciwie przepisów gry, jak to już uczynił P. Marcinkowski z papą, kiedy z nim układał jedne *tableau* (obraz historyczny)—pamięta babunia?— (Tu znowu wszystkich, prócz Marcinkowskiego, śmiech ogarnął, z przyczyny pewnéj pocieszněj przygody, która spotkała Pana Starostę Czackiego) (*) — a tak wielka krzywda się nam stanie.

„(*) W Krzemieńcu, w domu Pana Starosty Now....., który bardzo był wesołego charakteru, dzieci jednego wieczora poczęły układać tak nazwane *tableaux historiques*, czyli zagadki historyczne. Do jednego chciał należeć sam Czacki wraz z Marcinkowskim. Zgadzają się na ucieczkę Eneasza z płonącéj Troi. Otwierają się drzwi — ukazuje się Marcinkowski stękający pod Starostą Now....., na plecach jego niezgrabnie wiszącym. Jakoś przez zapomnienie, Krzyża z synaczkiem przyzostała. Widze, mając odgadywać *factum* historyczne, wahają się. Wtém Filip Plater z flegmą się ozwie — „Ach! rozumiém!— to wjazd Chrystusa Pana do Jerozolimy.“— Czacki parsknął ze śmiechu, a Pan Jaxa Marcinkowski, któremu się przebrała miarka cierpliwości, grzmotnął Panem Starostą o ziemię, co się już stało przyczyną owego Homerycznego *nieustającego śmiechu bogów*.

Pani Olbromska, pogłaskawszy pod bródkę wnuczkę, rzekła —

— Uspokoj się, moja panieneczko! Będziemy prosić Professora, ażeby za tabakierkę odpokutował.—

Professor poruszony na to rzecze—

— To może JW. Pani chcesz, żebym za karę tabaki nie zażywał? A to piękna rzecz! To chcesz mojéj śmierci? —

Pani Olbromska. Broń Boże! To byłoby nie po chrześcjańsku! Lżejszą daleko pokutę obierzemy.

A Szopowicz, obróciwszy się do tryumfującéj dziewczynki, z żałośnym rzekł głosem —

Mościa Panno Marjanno! czy to się godzi tak ze mną starym postępować, grabić mnie i jeszcze wymagać za tabakierę pokuty? Nigdy się tego nie spodziewałem od Waćpanny.—

Marysia Czacka. A niechże Professor będzie tak sprawiedliwy, przypomni sobie, iż musiałam przez cały tydzień po godzinie uczyć się demonstracji teorematu kwadratu *hypotenuzy* równego summie kwadratów dwóch *katetów* trójkąta prostokątnego, dla tego, że pomimo łamentów moich, nastawałeś, Professorze, koniecznie, abym ja, głupia dziewczyna, takie rzeczy umiała, i utrzymywałeś, że inaczéj sromać się bym musiała, iż jestem córką tak uczonego człowieka, jak papa kochany. Jabym była mało na to zważała, bo wiém, że mama i papa nie wymagają ode mnie biédnéj tak ciężkich lekcij. Ale

żeś, nielitościwy Professorze, obiecał uroczyście, w nagrodę mojéj męki, grać z nami wieczor w *ciuciubabkę*, która bez ciebie żadną nie jest dla nas zabawą — co mówię? — bez ciebie niéma dla nas *ciuciubabki* na świecie, więc z bolem serca musiałam się biedzić twoją nieznośną *hypotenuzą*, i wiész doskonale, żem się nauczyła demonstracji, a teraz, niedobry Professorze, chcesz mnie zawód zrobić? a pięknie to? —

A reszta gromady dziecinnéj, która tymczasem przybiegła z sali do pokoju na głos rozprawiającéj Marysi, gęstym gronem stanęła za nią, i ze wszystkich tych twarzyczek skupionych, tchnących pustotą, jeden tylko głos wyszedł:

— Niepięknie, Professorze, niepięknie!!

— La la la — przerwał Szopowicz nawpół udobruchany wspomnieniem lekcji matematycznéj.

— Panno Starościanko! z Waćpanny widzę wielki Demostenes się zrobił. Proszę uniżenie! na takie się brać fortele! wyjeżdżać mi tu na plac z *hypotenuzą!* — o takich rzeczach gadać w salonie, wśród kart, po ciuciubabce!! jestże to poszanowanie dla nauki? —

— Mościa Starościno! — dodał obracając się do Pani Olbromskiéj, wskazując okiem na Marysię — wybacz mnie Jejność Dobrodzika, ale czyjaś tu biéda chodzi — nic przymawiając panience. Lecz o cóż idzie? moja Starościanko! Ponieważ wyznać

muszę, żeś mi się niezle wyuczyła demonstracji, więc ci zawodu Professor Szopowicz nie zrobi.— Pani Starościno Dobrodziko! niech JW. Pani naznacza pokutę. —

Pani Olbromska. Będzie bardzo łatwa do odbycia. Oto jutro wieczor o tejże saméj porze przeczytasz nam, kochany Professorze, ową rozprawę, o którejś niedawno namienił.

Szopowicz. Tam do licha! Potrzeba mi było z tém się wyrywać? Ale cóż mam czynić? Raz poddawszy się pod wyrok JW. Pani, muszę go spełnić, wszakże nie inaczéj, tylko pod warunkami, które natychmiast przełożę. Piérwéj jednak winienem ostrzedz, najprzód: że ta rozprawa nie jest moją; jest to *lukubracja* w rękopismie pewnego zmarłego przyjaciela mojego, Teatyna, professora, człowieka cokolwiek fantastycznego humoru; powtóre: że mi to na karb nie wpiszecie, jeżeli słuchanie owéj ramoty większą może będzie dla was zgryzotą, niżeli dla mnie czytanie onéj, tém bardziéj, że znaczniejsza jéj część nie jest pióra starego mego poczciwego Teatyna, ale innego późniejszego kontynuatora, co też i zupełnie odmienny styl wskazuje. Warunki zaś moje są następujące, *(a każdy z nich conditio sine qua non).*

1. Panna Starościanka od początku do końca musi mi słuchać całéj rozprawy, bez ziewania i

żadnego trzpiotostwa. Być może, że odtąd nierychło jéj się zechce na podobne fantowania i pokuty wyciągać mnie starego.

2. Pora zwykła kolacji położyć ma koniec czytaniu, w jakiémkolwiek miejscu przerwie wątek powieści.

3. Każdy z Państwa Dobrodziejstwa wstrzymać się ma tego wieczora od wszelkich krytyk lub pochwał przeczytanéj rozprawy. Zgadzacie się na to? —

— Zgadzamy się! zgadzamy! — odpowiedzieli wszyscy.

Tymczasem marszałek dworu oznajmił, iż wieczerza już gotowa.

Po kolacji, kiedy już zbliżała się pora odejścia, chciałem pożegnać Panią Starościnę Olbromską, bo miałem przed sobą długą podróż i późną jesień, i prosiłem ją o rozkazy do Lwowa.

— Jak to? — ozwała się z uprzejmém zadziwieniem — Waszmość nie chcesz być uczestnikiem jutrzejszego aktu uroczystego? Nie tylko przez to wielkąśby mnie staréj swéj przyjaciółce krzywdę uczynił, ale nadto sambyś się pozbawił budującego widoku, jaki każdemu przedstawia dobrowolna pokuta szanownego literata. Starzy nasi ojcowie zwali to *pokorą*. Prosimy więc bardzo darować nam jutrzejszy dzień!... —

I z takim wyrazem dobroci na twarzy te ostatnie słowa wymówiła, iż niepodobna mi było co innego odpowiedzieć, tylko —

— Spełnię z przyjemnością rozkaz Jejmości Dobrodziki. —

DRUGI WIECZOR

Pani Starościny Olbromskiéj.

II.

DRUGI WIECZOR
Pani Starościny Olbromskiéj.

Dzisiaj, o szóstéj wieczor, przybyłem do Pani Starościny Olbromskiéj.

Wszyscy wczorajsi goście i domownicy, a z panienek jedna tylko Marysia Czącka, już byli zebrani w dobrze oświeconym salonie.

Po kawie, (bo herbaty nie dawano u Pani Olbromskiéj, tylko dla chorych), usiadła gospodyni na poręczowém krześle przed małym okrągłym stoliczkiem, na którym poczęła złoto wykręcać. Po obu stronach wszyscy słuchacze zajęli miejsce na krzesłach w półkoło.

Potém kamerdyner postawił pośrodku stolik, na nim dwa spore świeczniki.

Pani Olbromska, uśmiechnąwszy się, rzekła do Pana Szopowicza— Czekamy—jeśli łaska.—

Professor, zawsze ponury, przysunął krzesło do

stolika, dobył okulary z futeralika, potém z wytrzeszczoném okiem począł szkła chustką ocierać, mrucząc pod nosem —

—Okulary mi podezolowały szalone głowy wczorajsze. —

Nakoniec, dobywszy z zanadrza rękopism, począł czytać.

Lecz piérwsze słowo przerwał mu kamerdyner Francuz, który niemałą był osobliwością w Krakowie, bo nauczył się cokolwiek mówić po polsku. Postawił szklankę z wodą, a przy niéj cukier na miseczce z łyżeczką.

Professor markotny, że mu głos przerwano, i nie pojmując przyczyny, pyta — Co to ma znaczyć? —

— To od krypki, *Monsieur*!—rzekł Francuz—*en France* to jest *boisson ordinaire* literatów, oo *lecture* robią. —

— Daj mi tam pokój, mój Mosanie! — odpowiedział zniecierpliwiony Szopowicz—z swoim literackim mdłym trunkiem: woda z cukrem! Także też wymysł! Ja nie Francuz i nie podlegam chrypce, a od bolu głowy mam tabakę. — Francuzki koncept! —

Wszyscyśmy się zcicha uśmiechnęli. Potém Pan Szopowicz donośnym głosem czytał następującą rozprawę, którą późniéj, za pozwoleniem jego, przepisałem sobie.

OPUSCULUM III.

X. Aldefonsa S. Ceatyjna,

Członka rozmaitych uczonych Towarzystw.

OBRAZY PARABOLICZNE

wielkich przygod chrześcjańskiego świata.

„Si vous réflechissez bien à ces différents „êtablissements, vous comprendrez claire„ment pourquoi l'epoque qui suivit le déluge „est *mythique*, c'est à dire *merveilleuse* chez „toutes les nations, *car dans un sens très „intèressant, rien n'est si vrai que la „fable* *)."

Lettre du C. Joseph de Maistre au C. Jean Potocki.

*) Jeśli się dobrze zastanowisz nad różnemi temi siedzibami, pojmiesz łacno, dla czego epoka, która nastąpiła po potopie, jest mityczna, to jest, cudowna; w znaczeniu bowiem bardzo zajmującém *nic nie jest tak prawdziwém, jak bajka.*

III.

Wstęp Rozprawy.

III.

Wstęp Rozprawy.

Nieraz w młodości mojéj słyszałem to z ust Pana Kazimierza Puławskiego i innych wielu poważnych wiekiem i cnotą mężów, iż nic za dawnych bardzo czasów, bo jeszcze za panowania Jana III., obyczaj chrześcjański wielką posiadał moc nie tylko nad królem, ale i nad całym narodem polskim, lubo pod tę porę w innych europejskich krajach inaczéj się działo.

Owoż wtedy u nas jak był jeden Bóg, jedna powszechnie przemagająca wiara, tak też i jeden kwitnął obyczaj.

Nie starzał się, nie zrzędził, jak to się teraz dzieje, bo mu wszyscy w sercu sprzyjali. Tak więc, czy się o czyją krzywdę ujmował, czy brał się do korda przeciw niewiernym, czy modlił się, nikt mu z ważnych ludzi nie kontrował.

A im wyżéj koleją wieków sięgniesz po dzieje krajowe, tém potężniejszém ujrzysz wszędzie obyczaj chrześcjański.

Posiadał on tajnie wszystkich serc i umysłów i przemawiał do nich językiem od wszystkich zrozumianym.

Wierzył mocno w Pana Jezusa, słuchał Kościoła Bożego wiernie i poczciwie, tak, jak wszystka dziatwa rodziny, nad którą panował.

Więc i jemu wierzyli starzy i młodzi, i ufali mu.

A jeśli u nas, np. w Polsce, którykolwiek z niesfornych wzbiwszy się w zuchwalstwo, chciał niedobre *nowinki* rozsiewać, to mu pan ojciec i pani matka usty zatulali, aby cicho siedział, opamiętał się i nie bluźnił.

A kiedy i to nie pomagało, to go na Sicz przepędzano, ażeby się tam zaporożskiemu przypatrzył obyczajowi, kiedy mu już chrześcjański nie przypadał do smaku.

Tak przez długie wieki panował u nas obyczaj chrześcjańskich krajów.

A luboć mu głowa poważnie szronem się okryła, czerstwy był przecie na siłach i wesoł.

Nie przechwalał się, jak teraz, z *dobrych dawnych czasów swoich*, bo mu *obecne* nie przykrzyły się i równie mu były milemi.

Bo mu dzieci i młodzieńce wesoło przyśpiewywali pieśni stare i ś. kantyczki, bo modlili się z nim po kościołach.

W potrzebie wojennéj stali mu przy boku mężnie i wiernie.

A w pokoju przygrywali mu na gęślach i bandurkach o wspaniałych bohatérach, i dawnych jego dobrych czasach, i o tych, których się sami doczekać spodziewali.

A stary obyczaj uśmiechał się do nich.

—Dobrze, dzieci! — mówił im.— Pamiętacie o starych waszych, będą i o was młodzi wasi pamiętać. Przyśpiewujecie ojcóm, będą i wam śpiewać wesoło wnuki wasze. Odegrali starzy swoje, i wy odegracie wasze.—

I stary obyczaj nie upadł na siłach, lecz począł mocno rozmyślać o nieśmiertelném życiu na ziemi.

Tak było u nas prawie do połowy XVIII wieku.

A późniéj inaczéj się stało.

Albowiem, wedle owego starego przysłowia gminu: *pop swoje a czart swoje!*— co innego stary obyczaj miał w myśli, a co innego szatan, który na jego zgubę czyhał.

IV.

STAROŻYTNE WOJNY

w państwie obyczaju chrześcijańskiego.

IV.

STAROŻYTNE WOJNY

w państwie obyczaju chrześcjańskiego.

Jeszcze w XVI wieku przywędrowali ludzie do naszéj ziemi z daleka bardzo, bo z krainy nie wiedzieć o wiele tysięcy mil od Pana Boga i od staréj wiary Chrystusowéj odległéj.

Jedni z niemiecka przybrani, drudzy po hiszpańsku, inni po włosku, i byli tacy między niemi, co kuso po węgiersku się nosili.

I wszyscy jedli mocno, a pili jeszcze mocniéj, niestatecznym, płochym niewiastóm wielką cześć wyrządzali, rozprawiali z kretesa o wszech rzeczach,

co się pod słońcem znajdują, śmiejąc się z dawnych teologów, filozofów i mędrców wszystkich, co grube księgi spisywali, mówiąc i zapewniając o sobie, iż każdy z nich w własnym swoim rozumie daleko więcéj może znaleźć nauki, niżeli u tych starych bakałarzy, byle tylko posiadał ducha świętego.

A każdy ducha świętego posiadać może, byle tylko ślepo, bez żadnego wahania się, wierzył i ufał, że go posiada.

I wszystkich jęli wesoło zapraszać do swego zboru, ażeby zarówno z niemi jedli mocno, pili jeszcze mocniéj, płochym, niestatecznym niewiastóm wielką cześć wyrządzali, o wszech rzeczach, co się pod słońcem znajdują, śmiele rozprawiali, z starych teologów, filozofów i wielkich ich ksiąg szydzili, i ślepo wierzyli i ufali, że posiadają ducha, co świętym jest niezawodnie.

I wiele młodych i starych, niebacznych, płochych ludzi zbłaźniło się i przystąpiło do towarzystwa tych niedobrych przybylców.

Wszakże i takich niemała liczba się znalazła, co w wierze i statku dotrwali staremu obyczajowi, stanęli w obronie jego, a do niestatecznych owych ludzi tak mówili —

— Nasz stary obyczaj narodził się z Chrystusem Panem w Betleem jednego dnia, przed tysiącem z górą lat, chował się i wzrosł pod okiem Boskiém, obcował z jego apostołami i uczniami, patrzał na

nieprzeliczone cuda i przetrwał tyle wieków prześladowań.

Katownie wszelkiego rodzaju, więzienia, wygnania, nawet śmierć sama szkody mu nie przyniosła, lecz przeciwnie krew męczeńska wzrost mu dała lepszy.

Albowiem ilekroć tyrany w niéj go skąpali, dłuższy, czerstwiejszy na siłach ukazywał się; i do tego przyszło, że jeden z starych mądrych pisarzy chrześcjańskich, Tertulljanus, rzekł do prześladowców— Patrzcie— oto Krew męczeńska jest nasieniem chrześcjan!..—

My więc teraz mielibyśmy się tak głupim niestatkiem, taką lekkością splamić, żebyśmy starego poważnego hetmana naszego, tak świetnego rodu bohatéra odstąpili, dla waszych ladajakich baśni, co je tu wam przynieśli szwabskie kupce, zbuntowane bakałarze, zbiegłe mnichy apostaty, z wywłokami i frejerkami różnych krajów!— *quod Deus avertat!* *)—

Na to rozsiewacze *nowinek* tak odpowiadali—

— Wasz rozum postarzał tak, jak wasz hetman obyczaj, i tylko jak niewolniki jakie, albo też nierozsądna dziatwa, powtarzacie bez żadnego baczenia to, co wam ojce wasze powiedzieli, czego oni na własne swoje oczy nie widzieli, tylko z zbutwiałych starych *Legend* wyczytali.

*) Co Boże uchowaj!

Patrzcie więc, ile to ludzi głupich stanęło między wami i Panem Bogiem i Jego mądrością!..

A każdy z nas wprost z Bogiem rozmawia; dla tego też nasz rozum silniejszy i lepszy od waszego, dla tego też godzi się nam to, czego wy sobie pozwolić nie śmiecie.—

Tedy ludzie starego obyczaju mocno się oburzyli na tak wielką dumę i poczęli mężnie walczyć z dumnemi.

Jedni pychą, i ci od pychy polegli, bo przybylce byli wprawniejsi do tego oręża, niżeli ludzie starego obyczaju.

Drudzy miłością potykali się, i ci zwycięztwo otrzymali, bo przybylce broni téj nie znali, ani jéj widzieć mogli, i rany odbierali, których zleczyć nie umieli.

Miłość bowiem mocniejsza jest od samego piekła: cały świat spłonąć od niéj może, nawet pycha, co większa jest, jak cały świat.

I przez wiele lat wojna się toczyła między temi, którzy od kolebki byli sobie bracią, jak Kaim i Abel, a potém przez zawiść i dumę zabijali jedni drugich, także jak Kaim zabił Abla.

W obronie jednéj i drugiéj strony nie tylko głosy wznosiły się przeciwko głosóm, nie tylko czarny *inkaust* przelewał się po papierze, ale i krew niewinna szérokim strumieniem ziemię oblała, a ziemia ją wypiła do ostatniéj kropelki, a potém za-

wołała do Pana na niebie— nie o pomstę, jak niegdyś, kiedy połknęła w siebie krew Ablową, ale o zmiłowanie, jak Pan, kiedy na krzyżu konał.

I przyszło z nieba zmiłowanie, a narod starego obyczaju w miarę przelanéj niewinnéj krwi w trójnasób po staremu się rozmnożył, i rozsiewacze nowinek poczęli upadać na sercu, bo ich szyki mięszały się i przerzadzały się; a także nie było zgodności między niemi. Każdy się bowiem zdobywał na coraz większe nowinki, każdy prym chciał trzymać, a jeśli mu się towarzysze sprzeciwiali, to na nich dobywał oręża.

I poczęła się przelewać krew— winna, a ziemia ją także wypiła do ostatniéj kropelki i znowu zawołała Ojca niebieskiego o zmiłowanie— i przyszło z nieba zmiłowanie; albowiem rozsiewacze fałszu stracili serce do krwawéj walki, w któréj się nie rozmnażali, jak ich przeciwnicy, jeno poczęli rozmyślać o rozejmie i traktacjach z ludźmi starego obyczaju.

Niebawiąc więc stronniki *nowinek* wysłali do nich professorów i jurystów i różnego rodzaju chytrych mężów do układania traktatów, którzy się temi ozwali słowy—

„Wy się starych rzeczy trzymacie dla tego, że, jak powiadacie, Bóg wasz wiecznie niezmienny— zostańcie więc sobie przy nich. Nasz atoli rozum, co go sobie ciągle przymnażamy, zawsze cóś

nam nowego i ciekawego naucza o Bogu— zostawcie więc i nas przy nim."

„Nie mamy się więc o co śpierać i krew przelewać, boć wżdy przy końcu ukazać się musi, przy któréj stronie prawdziwa jest mądrość— czy u was, gdzie rozum, jak wieczny żak, po naukę się udaje do wiary i na niéj jedynie się wspiera, czy u nas, gdzie rozum o swojéj mocy chodzi, a na wiarę patrzy tylko litościwie, jak dojrzały mąż na starą nieprzydatną już sobie piastunkę?"

„A ponieważ w oczy nam wyrzucacie, że my— ludzie bez porządnego szyku, bez króla i wodza, że u nas lada ciura hetmanem, zatém, że nie wiadomo z kim w traktacje wchodzić, więc macie o tém wiedzieć, iż sobie obierzem naczelnika, który z waszym starym hetmanem będzie mógł w układy wchodzić, jak równy z równym."

I powróciwszy chytrzy mężowie do kraju swego, *nowinek*, postawili na przodku sprytnego, urodziwego młodzieńca, nazwali go: *zwyczaj*, i namówili lekkomyślny lud, aby go za króla sobie przybrał.

A cały lud jednym głosem krzyknął: *vivat rex in aeternum!* *)

*) Niech żyje król wiecznie.

V.

Poselstwo starego obyczaju do nowo obranego króla państwa czystego rozumu.

V.

Poselstwo starego obyczaju do nowo obranego króla państwa czystego rozumu.

Po niewielu dniach stary obyczaj wyprawił poselstwo do nowo obranego zwyczaju z temi słowy—

„Wódz nasz poświęcon był przez Chrystusa, jak Jozue przez Mojżesza; i dał mu Pan w ręce dwie buławy: buława jedna— sprawiedliwość, buława druga— miłosierdzie; przepasał go mieczem obosiecznym słowa Bożego, włożył na głowę przyłbicę zbawienia, a na ramie tarczę wiary, i rozkazał mu, aby był prostym, jak gołąb', a rostropnym, jak wąż. To wiadomo całemu światu, i ty wiész dobrze o tém."

„A teraz wysłał nas, abyśmy ciebie zapytali się:

ktoś jest? kto ciebie poświęcił? i co o sobie sam mówisz?"

„Czekamy na odpowiedź, ażebyśmy wiedzieli, co mamy donieść temu, który nas wyprawił."

Na to dał taką odpowiedź panujący zwyczaj przez usty starego professora jakiejś akademji niemieckiéj.

„Powiedzcie dumnemu, który was wysłał, iż to się z moją godnością nie zgadza, ażebym ród mój przed nim wywodził. Dość, że mnie rozumni ludzie na tron wynieśli, a ojciec mój był bardzo bogaty człowiek."

„Kto z bardzo wysoka chce ród swój wyprowadzać, ten nierostropnie poczyna, bo z konieczności musi na jakiegoś głupiego przodka natrafić."

„A ja nie chcę od żadnego głupca ród swój ciągnąć."

„Poświęcenia także nie potrzebuję, bo ono dobre być może dla tych władców, którzy sami byli nieczni (nie przymawiając waszemu obyczajowi)."

„A o sobie to mówię, co każdy w mojém państwie zapytany o mnie powié. I w tém też jest mój największy zaszczyt. Pytajcie więc tu wszystkich licznie zgromadzonych magnatów królestwa mego."

Posłowie tedy obrócili się do przytomnych i rzekli —

„Dla czego nad wami zwyczaj panuje?"

„Dla tego, że on to czyni, co i my" ozwali się wszyscy razem.

Posłowie. Ale czy wy dobrze czynicie?

„Bluźnisz!— wrzasnęli dumnie wszyscy.— Jakże tyle ludzi razem może niedobrze czynić? Czy nie umiécie po łacinie? nie wiécie starego przysłowia: *vox populi— vox Dei?*" *)

Jeden z posłów. A kiedy ten wasz król nie będzie się z wami zgadzać, dla tego, że każdy z was pocznie nowym trybem żyć, cóż wtedy?

Jeden z magnatów. Wtedy nowego sobie króla obierzemy.

Poseł. Któż on będzie?

Magnat. Nowy zwyczaj.

Poseł. Długież będą każdego takiego króla waszego rządy?

Magnat. Któż to wié? Każdy słucha tego króla, dla tego, że widzi, iż sąsiad jego jest mu posłusznym; a kiedy zapyta go: dla czego on to czyni? to on odpowié, że wszyscy jego sąsiedzi tak postępują, luboć nie wié jaki mają do tego powod, bo każdy ma odrębny; tylko to wié dobrze, że jest rzeczą śmieszną i nieprzyzwoitą odróżniać się i chcieć mieć więcéj rozumu od tylu ludzi w tak ważnéj rzeczy.

*) Głos ludu— głos Boga.

Poseł. Wszakżeście tak postąpili, opuszczając stary obyczaj.

Magnat. To się stało z przyczyny, że on zdziecinniał, a nasz nowo-panujący zwyczaj powiada, że on jest rozumniejszy; więc się nie godzi go opuszczać, póki jeszcze rozumniejszy się nie pokaże.

Poseł. Dla czegoż mu wierzycie na słowo, że jest rozumniejszy?

Magnat. Dla tego, że on powiada, że my rozumniejsi od starych.

Poseł. A jeśli się on myli?

Magnat. Bluźnisz! Każdy pojedyńczo może być głupim, lecz wszystek naród musi koniecznie w rozum rość.

Poseł. Któż to wam objawił?

Magnat. Wiara nasza niezłomna w rozum ludzkości.

Poseł. A my tylko wierzymy w Boga w Trójcy Jedynego i Zbawiciela Jezusa Chrystusa, a rozumu tyle tylko słuchamy, ile on z Boskim głosem i Kościołem Jego świętym zgadza się; wierzyć zaś w niego niezłomnie nie chcemy, bo on nie jest Bogiem. Waszém bałwochwalstwem się brzydzim, i gadać więcéj już z wami, i w żadne traktaty wchodzić nie chcemy, bo macie takiego króla, który dziś jest, a jutro może nie być.

I odeszli posłowie starego obyczaju z gniewem. I przez czas niemały nie było ani pokoju, ani

wojny między starym obyczajem a nowym zwyczajem, tylko kiedy jeden w prawą stronę ziemi poszedł, to drugi udał się w lewą, i przeciwnie, jak się stało za Abrahama i Lota czasów, kiedy się ich pasterze o pastwiska dla trzód skłócili.

Zwyczaj nie miał poważnéj szaty królewskiéj, lecz strój pospolity, cokolwiek dawniejszéj mody, lubo dość wikwintny co do kosztownych materij.

Na głowie nie miał hełmu z krzyżykiem, jak stary obyczaj, lecz miasto korony, miał *biret* złoty, czyli czapkę doktorską, a w ręku nie miał berła ani sprawiedliwości, ani miłosierdzia, jak stary obyczaj, ale rószczkę z drzewa *wiadomości dobrego i złego*, i przed nim nie noszono, jak przed starym obyczajem, jabłko złote z krzyżykiem, godło świata męką Pańską odkupionego, ale jabłko robaczliwe, pamiątkę owego niedobrego owocu, który matka nasza, Ewa, w raju zakosztowała.

Zwyczaj na tron wyniesiony przez ludzi miłujących rzeczy nowe, pomiarkowawszy, że się długo przy swojém państwie nie utrzyma, jeśli swe poddane w nieczynności i spoczynku zostawi, począł przemyślać o nowéj wyprawie wojennéj przeciw królestwu chrześcjańskiego obyczaju i o sposobie jéj prowadzenia.

Lecz w tém-ci to był sęk: jakiego tu oręża użyć? — Żelaza ostrego? To już wprawdzie wiele

krwi chrześcjańskiéj wytoczyło, lecz tylko żyźniejszą uczyniło niwę Chrystusową.

Miecza języka? oszczerstwa i fałszu? Ale i te, choć przywdziały postać prawdy i na podobieństwo jéj na plac wystąpiły, przecież w końcu zostały pochłonięte od prawdy, jak niegdyś fałszywe węże czarnoksiężników Faraonowych pożarte zostały od prawdziwych wężów Mojżesza.

— A od czegoż wszystko-wiedzący, przezwyciężający rozum?—pomyślał sobie zwyczaj—azaliż on nie zdoła wojować pomyślnie z tą ślepą wiarą, którą nasze wrogi się szczycą?—

Niech więc się rozpocznie wojna rozumna rozumu z wiarą!! *Dictum, factum* *).—

I po wszystkich swoich wielkich i małych miastach rozkazał budować akademje, uniwersytety, gimnazja, muzea i szkoły.

W nich ogłosił przed wszystkiém najwyższą cześć owéj starożytnéj *sofji*, czyli mądrości ludzkiéj, ustanowił wielkie kapłany, którzyby jéj ofiary poświęcali, i nazwał je filozofami, to jest, miłośnikami *sofji*.

Włożył także na nich obowiązek sporządzania, kucia broni rozmaitego rodzaju do zwalczenia przeciwników *sofji*, co utrzymują, iż cóś może być wyższém nad nią.

(*) Powiedziano, spełniono.

A na własnym swoim królewskim pałacu zatknął potężną chorągiew, na której złotemi litery to godło powiewało: *Wszystko rozum ludzki poznaje i widzi, a czego nie poznaje i nie widzi, to nie jest i być nie może.*

Wielki się tedy ruch wszczął w państwie czystego rozumu.

Napełniały się akademje, uniwersytety, gimnazja i szkoły wyznawcami *sofji*, i jakby w potężnych ludwisarniach jakich, poczęli filozofowie przyspasabiać i kuć oręże na swych przeciwników.

Składali kupami foljały, książki in 4to, in 8vo, in 12mo, poszyty ulotne, i w niewielu leciech napełnili niemi ogromne sale, i nad wyraz cieszyli się temi księgozbiorami, jak najbogatszemi arsenałami.

Osobne wspaniałe gmachy przeznaczone zostały także na zbiory najrzadszych płodów natury, na składy najciekawszych narzędzi i misternych aparatów, służących do rozmaitych przedmiotów nauki, tudzież na najznakomitsze nowe wynalazki we wszystkich jéj gałęziach.

Nie podobna wszystkie te zakłady rozumu podrobnie opisać. O ważniejszych tylko krótko namienię . . . . . .

. . . . . .

—Tu się kończy— rzekł z kwaśną twarzą, zatrzymując się cokolwiek Szopowicz—ułamek rozprawy Teatyna. Widać po dacie rękopismu, że śmierć prze-

rwała jego prace literackie. Dalszy ciąg jest trzydziestą laty późniejszy. Autor jego zupełnie mi jest nieznajomy. Być to może jaki z alumnów młodych klasztoru lwowskiego, w którym zakończył życie X. Ildefons, albowiem na tejże saméj ćwiartce niedokończonéj rozprawy podobało się pociesznemu kontynuatorowi tak rzecz prowadzić— . . . . . Między wielą innemi, jedna sala była poświęcona *naukóm przyrodzonym*. Tam były księgi, które z wielką erudycją dowodziły, że Bóc natury nie mógł stworzyć, bo ona jest sama Bogiem, jest wieczna.

W sali przeznaczonéj *naukóm ścisłym*, przez znakomitego professora wykładane było sławne dzieło P. Laplace: *Essai philosophique sur les probabilités*, który dziwną potęgą rozumu nawet *przyszłość* owładnąć potrafił i za pomocą *rachunku integralnego* rozwiązał najzawikłańsze problemata wszystkich w przyszłości mogących się przejawić działań wolnéj istoty, jaką jest człowiek. Często też także powtarzano, iż *zrównanie między liczbami: trzy i jeden* jest *absurdum* matematyczne, i ztąd *) oczéwisty wniosek wypływał, iż to, co jest *absurdum* w jednéj gałęzi wiedzy ludzkiéj, nie może być prawdą w drugiéj, np. w Teologji.

*) Rozumié się *oczéwisty wniosek* dla głów, które wszystko *matematycznie* tylko chcą pojmować.

W sali poświęconéj chemicznym rozbiorom i doświadczeniom, rzucano nawiasem niby tę mysl, że podług wszelkich analogij duch ludzki niczém innem nie jest, tylko *gazem*, którego *basis* wkrótce się ukazać musi w retorcie, skoro tylko doskonalsze *apparata* sporządzone zostaną.

W salach fizycznych, *geologiczne*, *geognostyczne* i *kosmogoniczne* uczone prace na jaw okazywały kształt i układ pierwotny ziemi, w niwecz obracając kosmogonją i chronologję Mojżeszową, którym między *) *Sagi* et *aniles fabulas* miejsce naznaczano.

Tu najsłynniejsze systemata w rozmaitych kształtach na plac występowały.

Wulkaniści **) zapalili głob ziemski potężnym ogniem, i z niego wyprowadzili obecny stan jego.

Neptuniści przeciwnie, nie jednym tylko potopem powszechnym, ale wielą bardzo *kataklizmami* ***) ziemię oblewali, nim ją w teraźniejszym kształcie ukazali.

Przyszli nakoniec stronnicy lodów (*système des glaciers*). Ci znowu nielitościwie zamrażali całego naszego planetę, a potém z pod lodu najdowcipniejszemi wywody dobywali go koleją wieków. — *E sempre bene*, ****) bo luboć ci uczeni jedni drugim

*) *Sage*, po niemiecku — powieść mitologiczna, bajki przestarzałe.

**) *Wulkaniści*, *Neptuniści* — przezwiska stronników, odpowiednich systematów geologicznych.

***) *Kataklizmos*, grec. — potop.

****) I zawsze dobrze.

fałsz zadawali, przecież w jednéj rzeczy w najpiękniejszéj byli zgodzie, to jest: że wszystko, co w tym przedmiocie pisał Mojżesz, jest dziecińśtwem.

W muzeum wystawione były wielkim kosztem sprowadzone sławne zodjaki z *Denderah* i *Esneh*.— Przypatrującym się tym osobliwościóm podawano krótkie, lecz pełne głębogiéj erudycji rozprawy, które żadnéj wątpliwości w umyśle czytających nie zostawiały, że te pomniki poważne są owocem *obserwacij* astronomicznych kilkudziesiąt tysięcy, ba nawet kilku miljonów lat potrzebujących.

Niepośledną także ciekawością były naczynia pełne różnych cieczy, w których za pomocą mikroskopu widne były owe niedawnemi czasy dopiéro należycie zbadane żyjątka pod nazwą *infusoriów* czyli namoczków. *Indukcja* filozoficzna na ich widok naprowadzała na tę genjalną myśl, że człowiek także, który kiedyś miał poczuć w sobie Boski swój rozum, mógł bardzo dobrze początkowo być tylko takowym *namoczkiem*, wynikłym z mułu wielkiego *kataklizmu*. *Ourang-goutana* *) postać była wskazana jako jedna z wyższych pośrednich *transformacij*, ukazujących się w téj postępnéj *anthropogonji* **).

Niemało miejsca zajmowały także dzieła historyczne. Najpyszniejsze wydania były traktatów o filozofji *historji*, zwłaszcza tych systematów,

*) Najznakomitszy rodzaj małp.

**) *Anthropogonja*, po grecku— rodzenie człowieka

które zwycięzko dowodziły, iż po upadku państwa Rzymskiego w całéj niemal Europie, a zwłaszcza na północy, Kościół i wiara Chrystusowa przytłumiły genjusz ludów i ich piérwotną oświatę, narzuciły im cywilizację przyjazną samobytnemu silnemu rozwijaniu się ich rodzinnego ducha, że nakoniec nierozważne burzenie bałwanów i innych szczątków poetycznego poganizmu przez nowo-nawrócone ludy zadało cios śmiertelny poezji i kunsztóm nacjonalnym.

Największe zaś i najliczniejsze były sale poświęcone filozoficznym dziełóm, albowiem zawierały w sobie wszystkie systemata rozumu ludzkiego, jakie tylko od początku świata na jaw się ukazały.

Na pięknéj wystawie lśniły się kosztownie oprawne księgi święte: *Vedas i Pouranas* indostańskiéj krainy, *Zend'a Vesta* perskie, pięć świętych pism *King* chińskiéj wiary, kronika *Tschun-Thsiu-Liki*, dzieła błogosławionego *Koung-Tsée*, (Konfucjusza), *Alkoran*, a na ostatniéj półce, wśród pyłu, ukazywała się Biblja; *Vulgaty* była tylko jedna edycja, lecz za to liczne, staranne wydania różnowierców zastępowały ten niedostatek biblijny.

Lecz dość już o tém: bo czyjeż pióro wiernie skréślić potrafi bogactwa naukowe państwa czystego rozumu??—

VI.

Przygotowanie do wojny w państwie czystego rozumu.

VI.

Przygotowanie do wojny w państwie czystego rozumu.

Niewiele lat upłynęło, aliści cały narod *czystego rozumu* i panującego nad nim *zwyczaju* na pokolenie *bakałarskie* się wykształcił; każdy, co się jednego dnia dobrze czegoś nauczył, chciał tego nazajutrz drugich uczyć.

Niewiasty, począwszy od panienek, kądziel i igłę rzucały i brały się do książek; niektóre z nich nawet dzieła pisały — a tak wkrótce więcéj się ukazało nauczycieli, niżeli uczniów, więcéj mówiących, jak słuchających.

Bunt się tedy począł szérzyć w państwie, i pewnego dnia niezliczony lud obległ pałac królewski; takie zaś dawały się słyszeć wrzaski—

„Mądrzy jesteśmy, i dobrze już w oręże rozumu opatrzeni. Między nami niéma, ktoby się chciał uczyć, ani ktoby chciał nas słuchać, bo każdy ma wiadomości podostatek, a wielu ma ich nawet do zbycia.— Albo nam więc, królu, dostarcz ludzi, którzyby mogli od nas uczyć się rozumu, albo jeśli tego nie zrobisz, to ciebie z tronu zrzucimy i obierzemy sobie drugiego króla, któryby nam postarał się o uczniów i słuchaczy: bo my czujemy, że nasza wielka nauka nam tchy zabija i zadławieniem grozi, jeśli ją na świat nie puścim.”

Panujący zwyczaj, widząc grożące niebezpieczeństwo, korzystał zręcznie z okoliczności do zawikłania całego narodu w wojnę przeciw obyczajowi chrześcjańskiemu, oddawna przezeń knowaną. Rzekł tedy poważnie do burzącego się ludu—

„Mądre i miłe dzieci! azaliż nie pracowałem o pocie czoła mego, ażebyście do tak wysokiéj mądrości doszli, jedynie dla tego, ażebyście mogli zwalczyć owego starego *obskuranta*, co się zowie obyczajem chrześcjańskim, i stoi na przeszkodzie postępóm ludzkości, ażebyście mogli podbić i owładnąć jego obszérne państwo? Daléj więc, dzieci mądre, do broni! Sam król wasz na waszém czele stanie, i poprowadzi do boju niezwyciężone hufce wasze. W tamtéj-to ciemnéj krainie znajdziecie podostatek nieuków do oświecania, podostatek uczniów i słuchaczy do wyprowadzenia z grubego błędu; tam

będziecie mogli do woli wygadać się, wykłócić i wydysputować!"

„Tylko przyjmijcie od króla waszego tę przestrogę: Poczynajcie ostrożnie, ażebyście z razu nie bardzo głośno ani wszyscy razem rozprawiali: bo wasi przeciwnicy lubo, ludzie ciemni, są chytrzy i mało mówiący. Więc jeśli z samego początku zbyt się wysilą głosy wasze, możecie mocnéj chrypki dostać i po piérwszéj walnéj bitwie zupełnie głos utracić — a przewiduję, że na jednéj ta kampanja się nie skończy."

Na te słowa cała rozumna tłuszcza poskromiła swe buntownicze zamiary, i jednym głosem wszyscy zawołali—

„Dobrze radzisz, królu! — Pójdziemy zaraz po nasze foljały, rękopisma, poszyty, mappy, zodjaki, *retorty*, i wszelką broń naszą: bo my nie chcemy z przesądem wojnę toczyć, inaczéj, jak orężem światła i nauki. Tak przystało na narod czystego rozumu. A ty, najmędrszy z króli, każ tymczasem wynieść chorągiew twoję wielką na znak *pospolitego ruszenia* przeciw obskurantyzwowi i przesądóm."

VII.

Pospolite ruszenie państwa czystego rozumu przeciw obskurantyzmowi. Szyk bojowy wojska.

VII.

Pospolite ruszenie państwa czystego rozumu przeciw obskurantyzmowi. Szyk bojowy wojska.

Zaraz po uśmierzeniu rozruchu, król śpiesznie zwołał na wielką radę najznakomitszych filozofów i professorów, którzy składali jego ministerjum.

Tam jednomyślnie postanowiono:

1. Że wojsko w nocy tylko będzie marsze swoje odbywać, z powodu że wzrok literacki światła słonecznego znieść nie może.

2. Że wojsko wyruszy z stolicy na nowiu, ażeby zbyteczny blask miesiąca nie przeszkadzał dokładnym obserwacjóm ciał niebieskich.

3. Że i królowa panująca, *filantropja*, z dworem swoim będzie towarzyszyć téj wyprawie.

Skoro więc nadszedł dzień przeznaczony do marszu, kazał król wynieść wielką swoję chorągiew na wielki plac przed pałacem swoim, a do niéj poczęły się kupić rozmaitego oręża hufce, i nieprzejrzaną zajęły przestrzeń.

Wkrótce potém wyszedł król na czele świetnego orszaku.

Bynajmniéj swego stroju codziennego nie zmienił, tylko miasto *biretu* złotego miał na głowie kapelusz mały stosowany *à la Bonaparte*, który był istotnie własnością tego wielkiego wojownika, a po śmierci jego za wielkie pieniądze nabytym został od Mameluka Rustan'a *) przez jednego z wielkich uczonych podróżników, i, jako relikwja marsowa, ofiarowanym królowi.

Wyprowadzono potém przecudnie ozdobionego potężnego *Kameleoparda* **), na którym miasto siodła lsknił się wielki tron złoty, a przed tronem misternie był urządzony teleskop.

Król, wsparty na swych ministrach, wzniosł się z łatwością na tron po drabinie z sznurów złotych z wielkim kunsztem do tronu przymocowanéj, którą potém zwinięto.

Zaledwie cały naród ujrzał króla swego na tak wspaniałém, ślachetném źwierzęciu, i postrzegł,

---

*) Rustan — sławny Mameluk orszaku Napoleona.

**) *Cameleopardus*, la giraffe — jeleniopard.

że oblicze królewskie niepospolitém jakiémś męztwem zajaśniało, nie posiadał się na widok tylu rzadkich osobliwości, które mu się piérwszy raz przed oczy stawiły, i wielkim zawołał głosem: *vivat rex in aeternum!*

Tu z konieczności wypada podać krótką biografję tego Kameleoparda, oraz nadmienić dziwne przygody, przez które on przeszedł, nim dostał się w ręce królewskie.

Te bowiem szczegóły wielkie światło rzucą na dalsze wypadki całéj téj wyprawy.

VIII.

Biografja przecudnego Kameleoparda.

VIII.

Biografja przecudnego Kameleoparda.

Emir, Saïd-El-Hedsch, wielki dowódzca karawan do Mekki, w wielokrotnych swych wędrówkach po Senegambji, wielkie miał zachowanie z sławnym w całéj téj krainie magiem, czyli czarnoksiężnikiem, osiadłym *w Kour-Karani.*

Nigdy on na pustynię nie wyprowadzał swéj karawany, żeby wprzód nie zasiągnął pomyślnéj wróżby u przyjaciela swego maga; nigdy nie wracał do Kour-Karani, żeby jemu swéj wdzięczności nie okazał przez kosztowne dary.

Owoż czarnoksiężnik ten między innemi osobliwościami posiadał podówczas małe źrebię kameleopardowe.

To on własną ręką karmił tylko owocami drzewa *Baobab* *), a poił go oliwą, któréj dostarcza cudne drzewo *Scheá* **). Co nocy, o północy, szeptał nad niém swe czary, najdłużéj zaś po nowiu i w pełni, i tyle swą sztuką czarnoksięzniczą dokazał, iż kiedy to żwierzę doszło do zupełnego wzrostu, wszystkie jego rozkazy wykonywało najchętniéj.

A lubo nadzwyczajna wysokość jego i grzbiet nader spadzisty ostrzegały, iż nie było z przyrodzenia przeznaczone na dźwiganie człowieka, mag i temu zaradził.

Sporządził w kształcie tronu siedzenie, całe złotem się lskniące, z ruchomą drabinką, którego rozmiary tak misternie postosował z grzbietem i kształtem kameleopardowym, iż samo siedzenie było zupełnie równoległe i wielce wygodne.

Nie dość na tém: przed tronem przymocował duży teleskop, a koniec jego osadził na rożkach nad głową żwierzęcia, które, będąc dziwnie ułaskawione, wszystko to dźwigało jak najswobodniéj.

Na niém też mag całe czasem nocy przepędzał, kiedy się zaciekał w prace swoje astrologiczne.

Jednego tedy dnia, pośród biesiady, która poprzedzała wyjazd Emira Saïd do Mekki, rozrzewniony czarnoksiężnik przyjaznemi słowy Emira, tak się doń ozwał uroczyście—

*) *Baobab*, drzewo to wspaniałe jest ozdobą Gujany.

**) *Scheá*, obfitujące w oliwę, także jest płodem Gujany.

„Saïd-El-Hedsch! Bóg *jest* Bogiem, *a Mahomet jest jego prorokiem.* To jest największa w świecie prawda, a druga po niéj zaraz jest ta, że Saïd-El-Hedsch nie ma na świecie równego mnie przyjaciela. Dziś dam ci tego oczéwisty dowod. Jedną rzecz najdroższą posiadam. Tę dostaniesz ode mnie w upominku."

I kazał wyprowadzić Kameleoparda z tronem, z teleskopem i drabinką, potém ukazał Emirowi sposób wsiadania nań, przytém sposob zdejmowania tronu i teleskopu.

Nakoniec temi się doń ozwał słowy, wskazując na Kameleoparda —

„Widzisz, Saïd-El-Hedsch! — to jest cudo świata, perła Gujany, zaszczyt najwyższy kunsztu mego. Przyjmij ten dar na pamiątkę szczęsnych chwil, któreśmy z sobą spędzili."

„Miéj go w wielkiém poszanowaniu: nie obarczaj tego przedziwnego utworu żadnym podłym ciężarem."

„Ten tylko, który wsiadłszy nań, potrafi zdobyć się na jakąś myśl śmiałą albo wspaniałe przedsięwzięcie, poczuje i pojmie całą dobroczynną potęgę *magji*, która to ślachetne zwierzę zdobi."

Potém dodał te tajemnicze słowa —

— „Jaśniéj tłómaczyć mi się nie wolno; lecz i te słowa są dostateczne do oświecenia tych, co są powołani do światła!!!..."

Emir z wdzięcznością przyjął dar od przyjaciela. Wszakże w długiéj po pustyni wędrówce wielki miał z nim kłopot, albowiem potężne zwierzę żadnego nie dźwigało ciężaru, a więcéj wypijało wody od kilkunastu wielbłądów.

Sam też Emir bynajmniéj nie pragnął wsiadać na nie. Milszy mu był jego doświadczony biegun arabski, czarny, z gwiazdką na głowie.

Nieraz, zniecierpliwiony niedostatkiem wody, szczérze żałował, że tak uciążliwy upominek przyjął, i przeklinał wszystkie mądre Kameleopardy i czarnoksiężnicze obietnice.

Nieraz napadała nań pokusa zabić bestję nieużyteczną, i krwią jéj ugasić pragnienie ginących na pustyni ludzi i wielbłądów.

Lecz skoro tylko z tém przedsięwzięciem zbliżał się do przedmiotu gniewu swego, jakiś niepojęty postrach go przejmował, lękał się ażeby tym czynem nie sciągnął zemsty maga na całą swoję karawanę.

Nakoniec po wielu srogich przygodach, karawana, znacznie uszczuplona stratą ludzi, koni i wielbłądów, przybyła z Kameleopardem do Mekki.

Emir Saïd-El-Hedsch, nim korném uderzył czołem w świątyni *Kabaa*, udał się wprzód do Scheryfa Mekki, Abdul-Ben-Izrum, dla złożenia mu powinnego hołdu i zwykłych na wschodzie upominków.

Rad z dobréj zręczności pozbycia się Kameleoparda, ofiarował go w darze Scheryfowi, powtarzając przestrogę daną przez czarnoksiężnika względem obchodzenia się z tym rzadkim zwierzem.

Abdul-Ben-Izrum, ufny tylko w słowa proroka, obojętnie przyjął te uwagi; wszakże samym darem nie wzgardził, i kazał bestję w swych ogrodach troskliwie pielęgnować. Tron misterny i teleskop zdjęto z niéj, jako niepotrzebne sprzęty.

W rok po tém zdarzeniu, pewien professor niemiecki, filozof, przybył do Mekki, wielce uczoną podróż odbywszy po całym Egipcie.

Opatrzonemu z Carogrodu firmanami pokazywano wszystkie osobliwości Mekki, a w końcu zaprowadzono do ogrodów, w których Kameleopard miał przytułek.

Było to zwierzę podówczas mocno słabe, tak, że zwątpiono już o jego życiu. A że Scheryf wierzył cokolwiek w potęgę czarnoksiężniczą, (lubo nie pokazywał tego po sobie), więc lękał się zgonu bestji, ażeby przezeń nie sciągnął gniewu maga na siebie.

Skoro więc professor niemiecki oświadczył, iż on potrafi uleczyć zwierzę, jeśli mu je przedadzą, bardzo tém uradowany Abdul-Ben-Izrum za bardzo nizką cenę odstąpił mu Kameleoparda, mówiąc sobie—

„Jeśli on u niego zdechnie, to już na *Giaoura* spadnie potęga czarna."

Wszakże rozkazał, ażeby oddając Kameleoparda

Niemcowi, powtórzono przestrogę maga względem jego użycia, tak jak to uczynił Emir Saïd-El-Hedsch względem Scheryfa.

Oddano mu także tron i teleskop bezpłatnie.

Niemiec, wesół z nabycia, natychmiast przybrał się do leczenia słabego źwierza; a jako biegły w przyrodzonych naukach i bystrego dowcipu człowiek, prędko napadł na środki skuteczne, a tak w przeciągu tygodnia Kameleopard przyszedł do zupełnego zdrowia i dawnéj swéj siły.

Professor, zapisawszy troskliwie do swego dziennika wszystkie okoliczności tego nabycia, a zatém i ową tajemniczą przestrogę maga, począł rozmyślać głęboko nad jéj znaczeniem, potém pilnie przypatrywał się tronowi z drabinką i teleskopowi.

Po długiém dumaniu i kombinowaniu rzeczy, doszedł nakoniec sposobu umieszczenia przyzwoicie tronu i teleskopu na Kameleopardzie, a potém po drabinie dźwignął się zręcznie na potężne źwierzę.

Dziwna rzecz!— skoro ujrzał się na tronie kameleopardowym, wnet się poczuł zupełnie innym człowiekiem.

Albowiem o czém tylko powątpiewał w uczonych swoich badaniach, to mu się ukazywało niezawodną, najpewniejszą prawdą, jak aksioma jakie matematyczne.

Jeśli w czémkolwiek nie dowierzał swéj biegłości, wnet ta nieufność znikała, a najsłodsze, żywe

przeświadczenie o dzielności własnego rozumu zajmowało jéj miejsce.

Nakoniec, jeśli w jakowém trudném przedsięwzięciu, o którém zamyślał, serce mu piérwéj trwogą się napełniało, to teraz największa odwaga, śmiałość, chęć nawet narażania się na największe niebezpieczeństwa, posiadły duch jego.

Przytém odpowiednie, dzielne, ogniste, hardc myśli i słowa napływały mu do głowy i ust, tak, iż mu się zdawało, iż choćby świat cały stanął mu oporem, onby go wyzwał, przeparł, przedysputował i zwalczył.

Słowem, widział się oczéwiście *mutatum in alium hominem* *).

Z razu jednak nie dowierzał sobie samemu, i wziął to wszystko za przywidzenie. Więc począł probować. Kilkanaście razy wsiadał na Kameleoparda i zsiadał z niego, i każdego razu z niewypowiedzianą swoją radością doświadczył, przekonał się, iż kiedy stanął na ziemi, był sobie tylko znakomitym uczonym professorem niemieckim, a kiedy siedział na Kameleopardzie, zdawał się być Bogiem. Zawołał więc z wielką pociechą serca —

„*Das ist in der That, eine wunderbare Bestie!* **) o któréj nie tylko Arystoteles i Pliniusz,

*) Przemienionym w innego człowieka.

**) To jest rzeczywiście cudowna bestja.

ale nawet żaden z naszych terazniejszych naturalistów nic nie wiedział."— I dodał potém z exaltacją słowy Schakespeara—

„*Są rzeczy w niebie i na ziemi, o których waszéj filozofji się nie śniło!!*"

Owoż tedy professor ten po powrócie z swoich uczonych podróży, koleją nadzwyczajnych zmian politycznych, został naczelnikiem potężnego stronnictwa w kraju czystego rozumu. Onto był najmocniejszą sprężyną w wyborze, który wyniósł na tron młodzieńca panującego pod imieniem *zwyczaju*.

Wiedział on dobrze o jego nieudolności, lecz sprzyjał mu dla tego, iż miał nadzieję pod nim samowolnie rządzić całym krajem.

A kiedy sam kandydat do korony, strwożony, wymawiał się od téj godności brakiem talentów, to on, dla przezwyciężenia jego skrupułów i tchórzostwa, odkrył mu całą tajemnicę Kameleoparda, wymógłszy wprzód od niego przysięgę na zachowanie milczenia, przytém ofiarował mu go w darze.

A potém, kiedy nowy król objął już rządy kraju, podał mu Niemiec ogromny regestr kosztów, podjętych przez niego na sprowadzenie, utrzymanie i pielęgnowanie Kameleoparda, które wielkie krocie wynosiły.

IX.

Szyk bojowy wojska czystego rozumu. Postępy wojska. Słonie stają się przyczyną zamieszków w szykach.

IX.

Szyk bojowy wojska czystego rozumu. Postępy wojska. Słonie stają się przyczyną zamieszków w szykach.

Skoro zbliżyło się słońce ku zachodowi, hetmani, filozofowie i inni naczelnicy poczęli sprawiać szeregi do marszu.

Szyk zaś całego wojska był potrójny.

W piérwszym postępowały półki dziennikarzy i jurystów pod chorągwią żurnalistyki, na któréj kolossalna prassa drukarska była odmalowana.

Pełniły one powinności przedniéj straży, lekko uzbrojeni byli w naukę, ale każdy z nich miał trąbkę sporządzoną z téj *broszurki* swojéj, która najwięcéj, jak to mówią, hałasu narobiła.

Przy nich zaraz w odwodzie stały mocniéj uzbrojone hufce dziejopisarzy i kronikarzy.

Drugi szyk trzymali uczeni z professji i erudyci we wszystkich gałęziach wiedzy ludzkiéj.

Za niemi pachołki prowadzili mnóstwo osłów i mułów ojuczonych foljałami i rzadkiemi rękopismami.

Na ich chorągwi widna była potężna mumja, otoczona hyeroglifami, i tylko to jedno wyrozumiałe słowo greckie *γνωσις* *), W trzecim szyku stali poważni filozofowie.

Tu pojawiało się najwięcéj chorągwi, a przy każdéj zajęło stanowisko stronnictwo stojącego na czele twórcy nowego systematu.

Na każdéj z tych chorągwi wschodniemi i zachodniemi językami godło takie powiewało: *Mój systemat najlepiéj wszystkie zagadki świata rozwiązuje.*

Tu druga, niemała osobliwość wojska tego ukazała się.

Każdy z słynniejszych filozofów siedział na białym słoniu z kraju Siam, dziwnéj wielkości. Na głowie słonia sprytna małpeczka spełniała obowiązek *kornaka* **), czyli poganiacza, z bodźcem w prawéj łapce.

*) *Gnosis*— wiedza.

**) *Kornak*— poganiacz słonia.

Na grzbiecie słoniowym małpa większego rodzaju trzymała poważnie umbrellę nad głową filozofską; na jéj ramieniu siedział paw' rzadkiego koloru, bo był cały biały, jak łabędź, tylko ogon miał szafirowy, oka w nim złote i czub u głowy złoty.

Przed słoniem biegło także kilka małpeczek przystrojonych bogato, jak pazie; w koszyczkach miały pastylki z najwyborniejszych wschodnich aromatów urządzone.

Największym zaś podziwem była dla wszystkich zręczność, trafność i niewypowiedziana pojętność tych zwierząt; albowiem tak były wszystkie misternie wytressowane, iż z najściślejszą dokładnością każde z nich swoję powinność pełniło.

I tak, skoro znakomita jaka myśl przeleciała przez głowę filozofa, którą objawiały krople potu na czoło występujące, najprzód ją dostrzegał baczny paw', wrzasnął i roztoczył szafiry swego ogona w wspaniały wachlerz.

Na ten znak małpeczka-*kornak* ubodła słonia między uszy, słoń stawał jak wryty, i wnet małpeczki-pazie miotały w górę wonne pastylki.

Słoń bystrém swém okiem je śledził, zmyślną trąbą zbierał z ziemi i podawał w górę filozofowi, który je z przyjemnością wąchał, a potém do kieszeni chował.

I póty wszyscy w miejscu stali, póki słoń naj-

mniejszéj pastylki nie zebrał z ziemi i nie podał jéj w górę.

A jeśli kto z bocznych szeregów, niebacznie, (broń Boże!) napędził się na to miejsce i zawadzał robocie, to straszliwa bestja nielitościwie go tratowała albo groźną trąbą daleko po za siebie wyrzucała.

Tak często jednak było tego zatrzymywania się, że w całym trzecim szyku poczęły się plątać szeregi, i sam król na Kameleopardzie musiał często stawać.

Posłał więc dworzan do filozofów z poleceniem, *ażeby w marszu tyle znakomitych myśli nie mieli, a słonie i małpeczki nie psuły porządku.*

Wszakże te zawady zupełnie same przez się znikły, kiedy cienie nocne nie dozwoliły pojętnym zwierzętom, towarzyszącym filozofóm, dostrzegać na ich czole kropli objawiających nowe pomysły.

Za trzecim szykiem filozofów postępował dwór królewski, otoczony liczną gwardją z najdoborniejszéj młodzieży złożoną.

Wszyscy ci wojownicy byli na koniach wielkiéj ceny, lecz każdy był uzbrojony wedle własnéj fantazji.

Jedni wystąpili po hiszpańsku, drudzy w zbroi rycerskiéj średnich wieków, inni w malowniczych strojach różnych bitnych wschodnich narodów.

Ponieważ byli to bogatych rodzin synowie, przesadzali się w przepysznym rynsztunku.

Król bowiem dziwnie lubił efekta teatralne, i wielkim był znawcą *kostiumów*; pilnie tylko przestrzegał, ażeby w nich była prawdziwie artystowska dokładność.

Sam monarcha, siedzący na Kameleopardzie, miał przy każdym boku trzech najsławniejszych filozofów, którzy postępując na dromaderach nadzwyczajnéj wielkości, mieli obowiązek kierowania Kameleopardem, kiedy Jego Królewska Mość była jedynie zajęta *obserwacją* ciał niebieskich.

Nakoniec na prawém i lewém skrzydle wojska stanęły posiłkowe hufce uczonych *wojażerów* czyli podróżników całego świata.

Każdy z nich ukazał się w stroju odpowiednim temu krajowi, któremu najdłużéj uczone badania swoje poświęcał.

Były więc tam ubiory arabskie, abissyńskie, perskie, indostańskie, chińskie, malajskie, wysp Sandwich i całéj Polinezji — lecz kto je wszystkie przeliczy?

Za niemi wielkie toczyły się furgony z księgami opisującemi zwiedzone kraje, z grammatykami ich niezliczonych języków.

Z szczątkami ruin, posągów, mumij, z zwierzętami wypchanemi i tym podobnemi rzadkościami.

Jedną mieli tylko chorągiew, na któréj było różnemi językami wypisane to zdanie:

Iż cała europejska mądrość niczém nie jest w porównaniu téj, któréj oni w swych podróżach nabyli.

X.

Dwór Królowéj Filantropji.

X.

Dwór Królowéj Filantropji.

Lecz wszystkie te wspaniałości przewyższał dobrym smakiem, doborem i wdziękiem orszak i cały dwór królowéj filantropji, który o kilka mil dla uniknienia kurzawy i wrzasku postępował za wojskiem.

Przedstawiał bowiem zdumiałym oczóm obrazy zupełnie przeciwne poprzedniczym.

Tam wszystko wrzało męztwem, wojną i wysoką żądzą sławy.

Tu wszystko oddychało pokojem, rzewném zamiłowaniem ludzkości i słodką, poetyczną melancholją.

Tam *inter arma silebant musae* *) wśród szermierstwa krwawego uczonych zapaśników, wśród

*) Wśród oręży milczały muzy.

twardéj, ostréj broni filozofów milczały słodko dźwięczne *Kamocny* *).

Tu przeciwnie wszystkie dziewięć dziewic wspaniałym chórem otoczyły panującą filantropją.

Sama też królowa była godną stanąć na ich czele.

Była to w średnim wieku wielce wysokiego wzrostu pani. Uroda jéj była pomierna; lecz nad wyraz mocny skład ciała, odpowiednia tusza, rumieniec bez przestanku wykwitujący na wydatnych jagodach, oko żywe, czarne, pełne łaskawéj wyrozumiałości, stawiały ją w rzędzie klassycznych piękności.

Nadewszystko *kontrast* między melancholją nosa i ust a czerstwością najpomyślniejszego zdrowia, którą całe oblicze jaśniało, nad wyraz był czarujący.

Taki zaś był porządek, którym cały orszak królowéj postępował.

Naprzód biegły na małych konikach szkockich (*poncys*) pazie bogato przystrojeni, i miotali wśród zgromadzającego się ludu *bonbonki* i rozmaitego rodzaju konfekty, w papierki misternie obwijane, na których różowemi litery taki był nadpis:

O mortels! la philantropie
Est l'unique de vos amies!

Za niemi w *linijkach*, także ciągnionych przez *poncys*, ukazał się liczny fraucymer królowéj.

*) Muzy.

Wszystkie panienki były jak największe panie ustrojone: najdroższe materje, szale, klejnoty saméj królowéj okrywały je. Filantropja bowiem panująca pragnęła, ażeby co tylko składa jéj dwór, przepychem zagranicznym i krajowym się odznaczało.

Nie miała w tém na celu próżności i płochéj wystawy, lecz dobro rękodzielni, przemysłu krajowego i wielkie interesa handlowe.

Dla tego też sama z damami dworu swego codzień inne przybierała stroje; a lubo przez miłość ludu przekładała *kostiumy*, które najlepiéj odpowiadały jéj popularnéj duszy, jako to: pasterskie, wiejskie rozmaitych krajów i prowincij własnego państwa, żądała jednak, aby w najprostszym nawet stroju krój tylko stosowny był zachowany, lecz materje najdroższe miały być użyte i wzięte z fabryk krajowych.

W takim także celu pomyślności narodowéj porządnemi taborami postępowali za dworem królewskim wszelkiego rodzaju rzemieślnicy i kunstmistrze, krawcy, szewcy, tapicery, jubilery i t. p.; dekoratory teatralne z zupełnym przyborem scenicznym, przytém najzawołańsi artyści dramatyczni, śpiewacy, baletnicy, z odpowiedniemi pełnemi orkiestrami.

Chciała bowiem litościwa królowa, żeby ani chwilka nie była stracona dla ludzkości. Gdzie tylko więc przez dobę dwór musiał się zatrzymać, te-

atr, *bal kostiumowy* lub koncert poświęcony ubogim, był miłym powodem do licznych jałmużn.

A jeśli nieprzewidziane przeszkody nie dozwalały uskutecznić podobnych ślachetnych czynów, królowa ze łzą w oku zwykła powtarzać te pamiętne słowa Tytusa: *straciłam dzień!*

W téj zaś wojennéj wyprawie królowa i wszystkie jéj damy dworskie przybrały strój malowniczy *markietanki*, jako godło poświęcenia się filantropji najlichszym posługóm dobroczynności.

Damy dworu piérwszego i drugiego rzędu wszystkie ukazały się w tym stroju w licznych landarach angielskich.

Pyszne konie angielskie składały zaprzęgi, przy nich dżokieje *groomy* (rodzaj masztalerzy) na raźnych koniach prowadzili luzem powodowe wielkiéj wartości wierzchowce z damskiemi siodłami.

Ostatni oddział był sam orszak przyboczny królowéj.

Przeznaczyła ona dziewięć najurodziwszych i najznakomitszych z talentów dam dworskich na pełnienie przy jéj boku obowiązku dziewięciu muz.

A na wielkiego swojego szambellana, który najpiękniéj w całém państwie grał na gitarze hiszpańskiéj, włożyła urząd Apollina.

Sławny obraz Dominikina *Parnassu* był wzięty za wierny typ, czyli model strojów i znamion dziewięciu muz i Apollina, wszakże z niektóremi odmia-

nami koniecznemi, które dobry smak i niepospolity *tact* królowéj nakazywały.

W karyklu wyzłoconym, niezmiernie lekkim, o dwóch kołach, kształtu faetona, ciągnionym cztérma jak śnieg białemi przecudnemi końmi, wporącz zaprzężonemi, siedziała od niechcenia królowa w stroju markietanki, lekturą się zabawiając.

Nie miała korony. Nic w jéj osobie nie odznaczało jéj wysokiéj dostojności, prócz jednego klejnotu na głowie, którym nikomu innemu z jéj orszaku zdobić się nie było wolno.

Była to *cornucopia* z brylantów i złota, czyli róg obfitości, szczytne znamie jéj wysokiego powołania, płód najwyższego umnictwa jubilerskiego.

A woźnicą jéj był ów wyżéj wspomniany magnat pełniący obowiązek Apollina.

W podobnychże faetonach, lecz nieco mniejszych i tylko parą końmi zaprzężonych, biegły muzy z allegorycznemi godłami w rękach.

Każda miała swój osobny faeton, a za woźnicę służył poeta prozą albo wierszem, lub też literat poświęcający się jéj usługóm i natchnieniom.

Takim zaś zręcznym szykiem posuwały się wszystkie te karykle, iż pomimo szybkiego biegu, zawsze jakby chorowodem otaczały faeton królowéj.

Apollin, woźnica królowéj, miasto bicza używał na konie pięknego swego głosu; *romanza* sławnéj jakiéj opery służyła za bodziec dla tych ślachet-

nych źwierząt; za każdą czułą zwrótką stulały uszy i raźniéj biegły.

Równie i wspaniali woznice muz naglili swe rumaki do prędszego biegu deklamacją najsłynniejszych swoich utworów wierszem lub prozą. Tak tedy całe powietrze, otaczające ten dziwny orszak na wiele stai, było jakby przesiękłe muzyką, poezją i deklamacją.

Słowem, był to prawdziwie tryumfalny przechod wszystkich wyzwolonych kunsztów, który wszystkich po drodze znajdujących się zachwycał.

Wprawdzie niektórzy z ciemnego gminu zbiegali się, mówiąc jeden do drugiego: „Chodźcie! chodźcie, gdzieś będą sztuki pokazywać i komedje!"

Ale pazie z przodu lecące rozpędzali motłoch, mówiąc: „Głupiście! — to żadne nie są komedje ani sztuki, ale królowa filantropja z Apollinem i dziewięcią muzami i tyląż literatami."

„Wołajcie: niech żyje filantropja!"

A głupi gmin, co zawsze najprostsze słowa przekręca, krzyczał na cały głos: „Niech żyje Filip z konopi!!"

Co mocno gniewało pazie; miotali więc na ludzi, zamiast prawdziwych cukierków, *bonbonki* z gipsu ulane, których dobry mieli zapas dla wyrządzania psoty, sami zaś prawdziwe zjadali.

Lecz wracam do opisu dalszych przygod téj wyprawy.

XI.

Powtórne większe zamięszanie w szykach wojska czystego rozumu.

XI.

Powtórne większe zamięszanie w szykach wojska czystego rozumu.

Lubo noc dość była ciemna, jak zwykle podczas nowiu, wojsko jednak nie było narażone na niebezpieczeństwo utracenia drogi, albowiem wszystkie trzy bojowe szyki miały swoje właściwe i odrębne światło, które lepiéj od ciał niebieskich wskazywało gościniec.

I to tylko miało wspólném z gwiazdami, że widne było w ciemną noc, a w dzień zupełnie gasło; nawet od blasku księżyca w pełni znacznie było przyćmioném.

Wojsko to nocą tylko chętnie odbywało swoje podróże, nie tylko z obawy spieki dziennéj, ale dla tego także, że chciało nie z obcéj jakiejś górnéj i

dalekiéj, lecz z własnéj korzystać jasności i cieszyć się nią, a ta zupełnie przy świetle słonecznem znikała.

Tak tedy przed szykiem dziennikarzy i jurystów unosiły się po powietrzu płomyki różnobarwne, nakształt latawców nad bagnami, przytém roje tak nazwanych święto-jańskich robaczków.

Światełka te nader słabo oświecały drogę, lecz były dostateczne dla dziennikarzy i jurystów, którzy najwprawniejszy mieli wzrok do nocnych podróży.

Po nad głowami uczonych, w drugim szyku będących, przelatywały meteory, tak nazwane *gwiazdy padające*.

Tak wielka ich ilość napełniała powietrze, że lubo każda z nich tylko chwilkę ogonem błysła i zagasła, nowe nieustannie ukazujące się niepoślednią jasność rozpościerały po nad całym tym oddziałem.

Wszakże mocniejsze i nie tyle drżące światło wychodziło z szyku filozofów — każdego z nich głowa była promienista.

Blask ten był bardzo podobnym do księżycowego, równie blady, zimny i nierażący wzroku.

Najmocniejszy zaś był ten, który wypuszczał z siebie sam orszak królewski.

Złoty tron królewski na Kamelcopardzie, teleskop, płomieniste skronie sześciu najznakomitszych

na dromaderach siedzących filozofów, były jakoby potężniejszém ogniskiem, z którego całe wojsko swoje promienie i blaski czerpało, i w którym, jak w jakim nieustającym ogniu ochotnym, wszystkie najżywsze farby płonęły.

Co się zaś tyczy dworu królowéj, ten tylko chłodnemi poranki i wieczory podróż swoję odbywał, tak dla nasycenia ducha poetyckiego zorzą i innemi w tych porach dnia widokami natury, jako też, że nocna jazda nie odpowiadała celóm filantropji pozyskania sobie serc wszystkich śmiertelnych.

W piérwszych godzinach nocnych nic ważnego nie wydarzyło się w postępie całéj armji.

Lecz nieznacznie w szyku filozoficznym wszczęły się rozmowy poufałe, dla ukrócenia chwil posępnych. Filozofowie, patrząc na szeregi przed niemi postępujące uczonych i na wielką liczbę mułów ojuczonych ich dziełami, cieszyli się, że oni wcale nie potrzebują tego ładunku książkowego, bo oni sami wszystkim dyktują dzieła.

Że ich to jest wielkiém powołaniem tworzyć systemata, organizować naukę, a tém samém życie wlewać w prace martwe uczonych i erudytów, których przyrównywali do mułów świata umysłowego, to jest, do pracowitych, wytrwałych i potrzebnych im, filozofóm, zwierząt, lecz niepłodnych w genjalne, twórcze myśli.

Takowe niemiłe przycinki dochodziły uszu u-

czonych, którzy, mocno obrażeni, ze wzgardą po za siebie ozierali się na filozofów, utrzymując, że oni-to raczéj, jak pasorzyty jakie, żyją i tuczą się tylko ich kosztem.

Że odkrycia wielkie, przez nich porobione, napuszoną retoryką nakręcają do swoich czczych marzeń, z których nakształt istnych kuglarzy i szarlatanów porobili sobie około głowy sztuczne promienie, któremi niebacznych łudzą.

Że zdala tylko blask mamiący rzucają, nakształt ochotnych ogniów bengalskich, a skoro do nich się zbliżysz, siarka i fosfor rażą powonienie.

Było takich wiele z jednéj i z drugiéj strony miotanych szyderstw, i przyszło do tego, że rozjątrzeni uczeni i erudyci chcieli wyparować filozofów z piérwszego szyku i zająć ich stanowisko.

Lecz się im to nie powiodło: bo filozofowie mówniejsi byli, mocniejsze mieli płuca od uczonych, którzy, ślęcząc dniem i nocą nad książkami, nadwątlili sobie piersi.

Więc przekrzyczeli uczonych.

Inna też okoliczność przyczyniła się do chwilowego zamięszania.

Dziennikarze i juryści mieli inną komenderówkę, a zupełnie inną uczeni i erudyci, inną także filozofowie.

A chociaż tym z porządku starszeństwa służyło prawo dawania rozkazów do obrótów wojennych,

chociaż potężne ich były głosy, przecież piskliwsze i liczniejsze daleko krzyki dziennikarzy i jurystów głuszyły komenderówkę filozofów.

Ci tedy mocno tém obrażeni, przemocą swych straszliwych słoniów poczęli potrącać szeregi uczonych na ostatnie szyki dziennikarzy, którzy, widząc wdzierających się między siebie uczonych, wielce się z razu dziwili, i nie mogli pojąć, czego oni chcą od nich.

Nie rozumieli także ich djalektu uczonego. Wszakże zmięszawszy się z niemi, po niejakim czasie wyuczyli się naprędce pewną ilość słów języka uczonego, a przekręcając je po swojemu, w większą jeszcze zuchwałość się wzbili, i już na cały głos wołali, że erudyci i uczeni nic bez nich począć nie zdołają.

Poczęły się więc szyki bardzo mięszać w całém wojsku, a król nie zdawał się tego uważać ani słyszeć; siedząc bowiem na wspaniałym Kameleopardzie, pogrążony był w obserwacji ciał niebieskich.

Badał, za pomocą przedziwnego swego teleskopu, *parallaxę* najcelniejszéj gwiazdy konstellacji Giraffy (Żyraffy); wyrachowanie onéj dokładne miało pomyślny mieć pływ na jego głębokie plany wojenne.

Albowiem to należało do sekretów tyczących się potęgi magicznéj Kameleoparda, powierzonych kró-

lowi przez professora niemieckiego, dawniejszego jego właściciela.

Kiedy więc wyżéj wspomniony nieporządek coraz więcéj począł się szérzyć, bliżsi króla filozofowie, widząc, że wszystkie bojowe szyki mięszają się i jedni drugich z stanowiska swego wypierają, tak nawet, że już *wsteczny* ruch się ukazał w całém wojsku, mocno zatrwożeni krzyknęli wielkim głosem—

„Na przód! na przód! *progrediant! progrediant!*" *)

Kameleopard niespodziewanym, blizkim tym wrzaskiem spłoszony, rzucił się w bok, a król z powodu nagłego tego zwrótu rażonym został w głowę od teleskopu tak mocno, że gdyby szybko nie przypadli mu byli w pomoc filozofowie, byłby na ziemię się powalił niemylnie.

W wielkim więc gniewie, porwawszy się za utłuczone czoło, już nie chciał patrzeć przez teleskop, lecz pójrzał przed sobą i królewskim głosem zawołał na całe wojsko czystego rozumu—

„Stać!!! do wszystkich piorunów! Dość tych *progressów!* Stać! ani mi na krok nie odchodzić od wielkiéj mojéj chorągwi!!"

I na znak przez niego dany, wnet chorąży wysoko podniosł chorągiew.

Te słowa potężne i ten widok wkrótce uśmierzył wszelką niesforność, i wszystkie szyki w dawniejszym porządku poważnie stanęły na miejscu.

*) Postępować! postępować!

A król znowu się tak ozwał —

„Słyszę piejące koguty, które mi są niezawodną wskazówką, że już jesteśmy w pobliżu stolicy obyczaju chrześcjańskiego, przytém czuję, że już zorza ukaże się wkrótce."

„Jest to pora, w któréj wielce nam droga małżonka filantropja zwykła z swym dworem doganiać nasze wojsko."

„Niech więc wszystkie hufce korzystają z tego chwilowego odpoczynku, ażeby otrzepały z kurzu swe rynsztunki i w wszelkiéj świetności stawić się mogły nieprzyjacielowi."

Jakoż w istocie skoro tylko piérwszy brzask różanéj jutrzenki się ukazał, śpiewy i poetyczne deklamacje zdala już zwiastowały zbliżający się orszak królowéj.

Połączyły się z entuzjazmem oba dwory, najczulsze nastąpiły powitania poetów muz Apollina z filozofami, zanosiło się nawet na akademję muzyczną.

Kiedy nagle słońce piérwsze swe złote promienie po całém niebie strzeliło, i całe wojsko niedaleko siebie ujrzało z zdumieniem stolicę nieprzyjacielskiego państwa.

XII.

Stolica obyczaju chrześcjańskiego.

XII.

Stolica obyczaju chrześcjańskiego.

I w saméj rzeczy było się czemu dziwić! albowiem wielka ta i nad wyraz wspaniała stolica była jedyna w swoim rodzaju i do żadnéj innéj niepodobna.

Zamiast przedmieści, széroko się rozciągały cmentarze, z wielką okazałością pysznemi nadgrobkami ozdobione, pełne rozmaitéj wielkości krzyżów.

Daléj zamiast wałów, bastjonów i rowów, urządzone były roskoszne sady i ogrody.

W nich wznosiły się ogromne murowane szpitale, domy przytułku dla starości, nędzy i wszelkiego rodzaju niedostatku; a tak starannie utrzy-

mane, jakby były przeznaczone na królewskie pomieszkania.

Bram żelaznych, harmat, smigownic, nigdzie nie było widać, tylko szérokie ulice, cieniowane drzewami owocowemi, połączały takowe przedmieścia z miastem.

Samo zaś miasto, całe z przewybornego ciosu zbudowane, najrozmaitsze przedstawiało widoki.

Nie było ścisłéj symetrji ani w ulicach, ani w rynkach; lecz każda część miasta zatrzymała kształty odpowiednie wiekowi, w którym powstała.

A że to była stolica odwieczna, można było po dobrze zachowanych gmachach wszystkie policzyć wieki i poznać ich cechy od chwili jego założenia.

Żadnego bowiem starego nie burzono ani przerabiano, żadnym też nowym nie pogardzano.

Najwspanialsze budynki były: kościoły, ratusze przeznaczone na obrady krajowe, pałace kosztem narodu dźwignięte dla dobroczyńców ludu, akademje i muzea ozdobione posągami wielkich z świątobliwości i nauki mężów, gmachy przeznaczone na przechowywanie ich uczonych prac i wielkich wynalazków.

Szkoły i uniwersytety były pełne uczniów i słuchaczy; wiele także znajdowało się między niemi już dojrzałego wieku ludzi.

Bo w tym kraju nie sądzono, aby mógł być

kiedy człowiek tak biegłym, żeby mu nie pozostało już nic do nauczenia się.

W rzeczach atoli nie tyczących się wiecznych zasad wiary Chrystusowéj zupełna swoboda panowała, jako niezbędny warunek postępów w naukach.

Nie narzucano nikomu systematów nawet najsłynniejszych, nie przyznawano nieomylności wiedzy ludzkiéj.

Dla tego nade drzwiami największéj, bardzo obfitéj w rzadkie dzieła biblioteki taki był nadpis:

„*Nemo ad cognitionem veritatis magis propin-*
„*quat, quam qui intelligit in rebus divinis etiam si*
„*multum proficiat, semper sibi superesse quod quae-*
„*rat. Nam qui se ad id, in quod tendit, pervenis-*
„*se praesumat, non quaesita reperit, sed in inqui-*
„*sitione deficit* *).

Statysta, wielki urzędnik, nie lekceważyli uczonym lub kunstmistrzem, a ci znowu nie kładli się w poczet najwyższych mistrzów i nauczycieli ludzkości. Bo wszyscy jednego tylko uznawali najwyższego mistrza i nauczyciela na ziemi, Chrystusa.

Pamiętali na te słowa Jego: — „Kto się wywyższa, ten będzie poniżony" — oraz przekonani byli, że prywata najwyższy genjusz kazi i czyni niepożytecz-

*) Nikt się bardziéj do poznania prawdy nie zbliża, jak ten, który pojmuje, że lubo w rzeczach Boskich wiele postąpił, zawsze mu pozostaje, czegoby szukał. Albowiem kto mniema, iż doszedł do tego, do czego dąży, ten nie rzeczy szukane znajduje, lecz w poszukiwaniu na siłach upada. *Ś. Grzegorz.*

nym; że tylko połączone miłością światło wielu, jest prawdziwą pochodnią prawdy dla narodu, a najgłębsza wiedza bez prawości serca i poświęcenia się jest tylko próżném bakałarstwem; że nakoniec być nie może rzeczywistéj cywilizacji bez żywiołu chrześcjańskiego.

Lecz najmocniéj sciągała uwagę pod względem architektonicznym świątynia, któréj kunsztowne łuki i wieże wysoko po nad wszystkiemi innemi gmachami pod obłoki się wznosiły.

Była ona dźwignięta na cześć *Słowu, co się stało Ciałem*, a największym cudem misterstwa kunsztu był potężny krzyż na najwyższym jéj szczycie, drogiemi klejnoty cały jaśniejący.

Światło płynęło z niego dniem i nocą wielkiemi strumieniami do wszystkich akademij, ratuszów, pałaców i celniejszych gmachów, dochodziło także pomniejszych budynków, lubo nie w tak znacznéj obfitości.

A było tak osobliwsze w swym rodzaju, iż ani się mięszało z światłem słonecznem albo też z blaskiem domowych świeczników, ani też było od nich przyćmioném.

Miało także w sobie tę szczególną własność, że jeśli owe domowe świeczniki z podłego materjału były urządzone, to za zetknięciem się z tém światłem wnet gasły.

A jeśli kto chciał upornie mocniéj je rozpalać i

pomnażał zły ogień, natenczas światło krzyża skrywało się za mgłą kopci i dymu, które wygryzały oczy upartych ludzi póty, póki albo nie zaniechali niedobréj roboty, lub też nie oswoili się z kopcią i dymem tak dalece, że już innego światła wzrok ich nie mógł znieść.

Wszakże, ponieważ, wychodząc na ulicę, musieli z konieczności narażać się na blask z krzyża płynący, woleli w końcu uchodzić z miasta i szukać miejsc, gdzieby już swobodnie mogli życie pędzić przy ulubioném swojém świetle wśród kopci i dymu, od których z czasem tak im poczerniało oblicze, jak górnikóm pracującym w kopalniach węglowych; lecz oni mało na to zważali.

Po jakimś przeciągu czasu, zawsze było widać pewną liczbę takowych ludzi wędrujących precz z miasta tego, które lubo było bardzo obszérne i ludne, jednak przedziwny w niém panował porządek.

Ukazywał się tam wielki ruch bez zamięszania i natłoku.

Praca bez jęków, zabawy bez wrzasków, żywe obrady i rozmowy bez krzyków i głosów pychy.

Strój mieszkańców nie nużył oczu swą wykwintną jednostajnością, lecz każdy był ubrany przyzwoicie, stosownie do stanu, możności i własnéj fantazji.

Wojennych ludzi, straż zbrojnych, zgoła żad-

nego wojennego rynsztunku nigdzie nie można było dostrzedz.

Tylko w obliczu każdego młodzieńca, a nawet i starca, takie błyszczało męztwo duchowne, co sobie za nic miało straże, zbrojne ludzie, i wszelkie oręże ziemskie.

A męztwo to widocznie nie pochodziło z zarozumiałości i zaufania w własnych siłach, które nie postały w sercach tych mieszkańców, ale jedynie z głębokiego ich przeświadczenia o mocy i potędze, które na nich z jaśniejącego krzyża spływały.

Często także rozlegały się po powietrzu pienia przedziwnéj melodji, które z kościołów otwartych wychodziły, i serca ludzkie spracowane dziwną posilały słodyczą.

XIII.

Wtargnienie wojska czystego rozumu do stolicy obyczaju chrześcjańskiego.

XIII.

Wtargnienie wojska czystego rozumu do stolicy obyczaju chrześcjańskiego.

Skoro król, połączywszy się z orszakiem królowéj, przekonał się, że całe wojsko *czystego rozumu* odświéżyło swoje ozdoby i rynsztunki wojenne, i zupełnie przyszło do dawnego porządku, korzystając z chłodu pięknego poranku, kazał dać znak do zajęcia stolicy obyczaju chrześcjańskiego.

Piérwsze szyki, przystąpiwszy do cmentarzy okrytych krzyżami, jeden przeraźliwy głos podniosły—

„*Oto brzydkie godła obskurantyzmu! Precz z krzyżami! Inaczéj wojsko ani przejść porządnie, ani rozwinąć się nie będzie mogło.*"

Najmocniéj nastawali filozofowie przy boku królewskim będący, żeby krzyże pozbijać, i użyć, jako materjału wybornego, bo suchego, do ogniów potrzebnych na kuchnię królewską.

Ale król siedzący na Kameleopardzie, baczniejszy od filozofów, zawołał —

„Dajcie pokój tym krzyżóm. Niech nikt się nie waży nawet ich dotknąć!"

„Ja znam tę przeklętą ziemię. Byleście jeden krzyż zburzyli, to przez noc, ba przez jedną godzinę, dziesięć ich większych z tego samego miejsca urośnie."

„I więcéj ich się namnoży, niżeli wam rąk stanie na ich zniszczenie, i znajdziecie się wśród nieprzebytego gęstego boru krzyżów. Jest to odwieczna zasadzka i fortel tego kraju i miasta."

„Trzeba więc zręcznie drobnemi oddziałami *defilować* wśród tych głupich cmentarzy i nie zważać na nie."

Nie podobał się filozofóm ten rozkaz, lecz musieli spełnić wolę królewską.

I poczęło wojsko ostróżnie przemykać się wśród krzyżów i cmentarzy, a coraz większe było podziwienie wszystkich, iż dotąd ani jednego męża zbrojnego nie ujrzeli.

Przystąpili potém do obszérnych ogrodów, ozdobionych wspaniałemi zakładami dla ubóstwa, nędzy i wszelkiego rodzaju niemocy.

Tam już hufce swobodniéj mogły postępować, a filozofowie ozwali się do króla—

„Najjaśniejszy Panie! tu już niéma tyle krzyżów; to piękne są miejsca na założenie obozu; a hołotę, która spokojnie w tych gmachach siedzi i głupio na nas oczy wytrzeszcza, łacno wyparować można."

Lecz król odpowiedział —

„Nie można i tu wojska zatrzymywać: bo skoro tylko ludzie nasi choć na jedną noc zajmą kwatéry w tych gmachach, tyle dobroci, litości, miłosierdzia, uprzejmości serca doznają od téj hołoty w nich mieszkającéj, od tychże samych nędzarzy, których powypędzają, iż się zupełnie *zdemoralizują*."

„I na długi czas nie zechcą ani się bić, ani nienawidzieć, ani karcić wrogów, ani słachetną pychą się karmić."

„Zupełnie odbiegną od wielkiéj mojéj chorągwi."

„Bo w tém zaślepieniu jeden drugiemu mówić będzie: błogieć to życie z pokornymi, łagodnymi i miłosiernymi. A z *czystym rozumem* niewola i pańszczyzna ciężka."

„Wy nie wiécie, jak tego rodzaju głupstwo jest zaraźliwe, ale ja to znam z doświadczenia."

„Nakoniec w tych ogrodach i pałacach, co się wam tak pięknemi wydają, niéma ani jednego przyzwoitego pomieszkania dla ukochanéj naszéj

małżonki a waszéj królowéj, filantropji. Bo wiedzcie, iż tam wszędzie krząta się owa nieznośna protektorka żebraków i próżniaków, co ją w tym kraju zowią *charitas*, nibyto miłość chrześcjańska."

„A gdziekolwiek tylko ona na chwilę zamieszka, tam całe powietrze napełnia się niewypowiedzianą jakąś wonią niepodobną do żadnych zapachów ziemskich, która jest zabójczą dla nerwów delikatnych królowéj."

„Przytém nie podobna jest narażać delikatne zdrowie naszéj filantropji na aurę szpitalów i ckliwe obrazy, które ich mieszkańce przedstawiają."

Filozofowie zdumieli na tak niepospolitą przezorność króla, i na wszystkie jego uwagi z uszanowaniem przystali.

A jeden z nich rzekł do ucha sąsiada swego —

„Dziwna rzecz, jak to król nasz wszystkie zwyczaje tego kraju tak doskonale zna, jakby tu lata swoje strawił!"

A ten mu na to także szepnął —

„To widzę nie wiész, że król nasz za młodu za pazia służył na dworze obyczaju chrześcjańskiego. A gdy go za jakąś psotę schłostano i wypędzono, to on potém, poczuwszy w sobie genjusz, taką, jak widzisz, karjerę zrobił. Ale mu to zaszczyt przynosi, i nam jest chlubném, iż mamy monarchę, który wysoką swoję godność winien jedynie zasługóm swoim."

Król po chwili znowu rozkaz wydał, ażeby całe wojsko zatrzymało się. Potém, zebrawszy wkoło siebie radę ministrów, temi się do nich odezwał słowy —

„Wiadomy wam przypadek, spowodowany niesfornością niektórych hufców wojska naszego, przeszkodził nam uzupełnić ważne postrzeżenia, tyczące się parallaxy najcelniejszéj gwiazdy konstellacji Giraffy (Żyraffy). To jest wielka strata dla astronomji: bo nie wiém czy rychło będziemy mieli drugą tak prześliczną noc do obsewacji ciał niebieskich."

„Ztémwszystkiém nie straciliśmy napróżno czasu. Albowiem za pomocą przedziwnego naszego teleskopu, a bardziéj jeszcze za pośrednictwem niezmiernie bystrego zmysłu powonienia, którym (jak wiécie) tak hojnie Opatrzność raczyła nas opatrzyć, przekonaliśmy się, że już blizko jesteśmy téj części ważnéj tego głupiego miasta, którą wszyscy podróżo-pisarze wymieniają pod nazwą *confort-city* (grodu posilenia). Jest to rynek wielki, a wkoło niego najlepsze w tym kraju restauracje, kassyna, kafenhauzy, bilardy, cukiernie i liczne składy wszelkiego rodzaju żywności."

„Tam więc założymy główną naszę kwatérę i dla wojska znajdziemy przyzwoite stanowisko."

„Potrzebują hufce nasze cokolwiek odpoczyn-

ku po trudzącym marszu i przyzwoitego pokarmu dla przygotowania się do walki umysłowéj."

„Prawdę mówiąc, możnaby i naczczo przedysputować tutejszych trwożliwych nędzarzy; wszakże ostróżność jest zawsze chwalebna. Posiłek żołądkowy jest pierwszą zasadą wszelkiéj gimnastyki tak umysłowéj jak cielesnéj, bo *mens sana i corpore sano*, mówi filozof. *)"

Słowa te królewskie pokryte zostały radośnemi głosy mężnego wojska.—*Vivat rex in aeternum*— kilkakrotnie powtórzyło.

Potém hurmem poczęło się sypać przez ulicę.

A ponieważ nikt żadnego oporu nie czynił, żaden z mieszkańców u okien się nie ukazywał, a jeśli który spotkał świetne hufce, patrzał na nie spokojnie, bez najmniejszego podziwienia, i daléj postępował do swoich zatrudnień, więc niebawiąc w dość dobrym porządku całe wojsko z dworem królewskim przybyło do grodu posilenia.

Na obszérnym, wspaniałym rynku czekali już kwatérmistrze, wyznaczeni od obyczaju chrześcjańskiego do gościnnego przyjęcia całego wojska i oznaczenia każdemu przyzwoitéj kwatéry, stosownie do jego stopnia i dostojności.

Wkrótce wszystkie hufce porządnie zajęły przeznaczone sobie pomieszkania.

---

*) Umysł zdrowy w zdrowém ciele.

Dla króla i dworu jego przeznaczono najwspanialszą oberżę z bilardem, przez wzgląd na namiętne upodobanie królewskie w téj niewinnéj grze, z czego Jego Królewska Mość wielkiéj doznała pociechy.

Dla królowéj filantropji najsławniejsza miasta tego *marchande des modes* ustąpiła pałacu swego z całym sklepem świéżo z Paryża sprowadzonych strojów. Królowa także wielką ztąd radość uczuła, i przyjęła to za pomyślną wróżbę całéj wyprawy wojennéj.

Nie zapomniano też i o Kameleopardzie. W staréj dzwonnicy, która już nie odpowiadała swemu przeznaczeniu, urządzono wygodną stajnię. Przygotowany był także *furaż* dla ślachetnego zwierzęcia, który się składał jedynie z liści drzewa exotycznego, znanego pod nazwą *mimosa*.

XIV.

Król czystego rozumu wyzywa przez posła na dysputę króla i cały narod obyczaju chrześcjańskiego.

XIV.

Król czystego rozumu wyzywa przez posła na dysputę króla i cały narod obyczaju chrześcjańskiego.

W grodzie posilenia nie zbywało na niczém wojsku i jego wodzóm. Posługa była najdokładniejsza, a wszystkiego bezpłatnie dostarczano.

Okoliczność ta w najlepszy humor wprawiła filozofów, którzy zrazu zasępili byli czoło, zwłaszcza Niemcy, lękając się, ażeby przewyborne ugoszczenie po oberżach nie sciągnęło na ich kieszeń klęski drogich regestrów.

Skoro więc przekonali się o próżnéj swéj obawie, poczęli starannie w mantelsaki pakować pozostałości z wetów i rozmaitych przysmaczków, mogących się *konserwować*.

Przeznaczali je na upominek swoim drogim połowicóm, które doma z utęsknieniem powrótu mężów czekały, i lubym swoim dziateczkóm, *den kleinen Spitzbuben* *) — tak je z pieszczoty zwali.

W téj atoli części miasta prócz sędziwych niewiast, przeznaczonych do posług niezbędnych, żadna inna się nie ukazywała ani miała w niém stałego pomieszkania.

Tak przeszedł dzień jeden, drugi i trzeci, a król, filozofowie i wszyscy wodzowie zapomnieli nawet o celu téj wyprawy wojennéj, o tém, że oni mieli czystym rozumem zdobyć stolicę, do któréj wtargnęli.

Patrząc na ich postępki, rzekłbyś, iż już posiedli to, czego żądali, i po co z tak wielką potęgą przyszli.

I byłby już ten *grod posilenia* niemylnie stał się drugą Kapuą dla całego wojska, kiedy niespodzianie jeden z piérwszych filozofów niemieckich, który cierpiał na defekt śledziony, mało bardzo jadł i pił, z uszanowaniem przystąpił do króla, grającego partję bilardu, i temi się doń ozwał słowy —

„Najjaśniejszy Panie! my już tu od dni kilku spokojnie zabawiamy się w tém nieprzyjacielskiém mieście."

„Zdaje się, że ono jest naszém: bo nikt tu nam

*) Małych łotrów.

dotąd nie stawił oporu, i dostarczają nam wszystkiego podostatek."

„Ale to się na nic nie przyda, póki my jego mieszkańców także rozumem nie zwalczym, co się dotąd nie stało, lubośmy w tym celu tu przybyli."

Król markotny, że mu ta mowa popsuła *sztos* w pewnym *coup* bilardowym, ofuknął filozofa, dając mu poznać, że się mięsza do rzeczy, które do niego nie należą. Wszakże ochłonąwszy nieco z gniewu, pójrzał przez okno i rzekł—

„Każ waść zatknąć wielką naszę chorągiew na dachu naszego pomieszkania. Widzę ztąd szczyty pałacu obyczaju chrześcjańskiego, na którego wizytę dotąd daremnie czekałem."

„Uważam, że ten zdzieciniały starzec tyle jest zarozumiałym, iż się nie umié poznać na swoich gościach i nie przewiduje jaka go klęska czeka. Trzeba więc go nauczyć rozumu."

Potém z wielką powagą taki dał rozkaz filozofowi—

„Zebrać zaraz tysiąc trębaczy z szyku dziennikarzy i jurystów; na ich czele sam się udasz do bramy pałacu królewskiego, i wyzwiesz na dysputę w imieniu naszém wszystkich jego magnatów, a nawet samego króla, jeśli mu ochoty nie zabraknie."

„Warunki dysputy będą ci wskazane w osobnéj instrukcji, tyczącéj się twojéj missji."

„Najważniejszy z nich sami ci odkrywamy."

„Oto— plac dysputy nie ma być inny, tylko ten rynek, w którym naszę główną kwatérę założyliśmy. Bo my nie pójdziemy w te strony miasta, gdzie ten meteor kuglarski ślepiącego krzyża razi wzrok zdrowy."

„Sam się waść strzeż, ażebyś, zbliżając się do tych miejsc, nie oślepł; dla tego uzbroić oczy umbrelką zieloną i kazać ją pobrać trębaczóm!"

Należy tu jedną okoliczność wymienić, tyczącą się téj części miasta, zwanéj *confort-city*.

Rynek wielki był otoczony w kształcie najforemniejszym wspaniałemi rzędami cyprysów, modrzewiów, świerków, i innego delikatniejszego gatunku drzew szpilkowatych, które w zimie zieloněj swéj szaty nie tracą.

Między niemi, z zachowaniem pięknych rozmiarów przestrzeni, ukazywały się naprzemian wspaniałe posągi Świętych Pańskich, dobroczyńców ludzkości i wodotryski z najczystszych głębokich źródeł, dniem i nocą grające.

Roskoszna cień stuletnich drzew, połączona z słodkim szeptem i świeżością wód bijących, dostarczała bezpiecznéj ochrony od upałów letnich.

Lecz od chwili przybycia wojska czystego rozumu i zajęcia kwaterunków przezeń *w grodzie posilenia*, z pomnożonych nad wyraz kuchni, ogniów i kotłów nadzwyczajnéj wielkości, takie tumany dymu dniem i nocą wznosiły się, iż w końcu utwo-

rzyła się z nich pewna atmosfera mglista, szara i ciężka, podobna do téj, którą węgiel osłania często Londyn.

Nie dziw więc, że w takiém powietrzu blask krzyża nad całém miastem jaśniejącego był zupełnie przyćmionym.

Ztąd tedy mieszkańcy grodu posilenia, przeznaczeni jedynie do pełnienia posług gościnności względem przybyłców, byli widocznie smutni. Łacno było można poznać, że oni tam w duchu tylko pokuty przebywali dla poświęcenia się uczynkóm miłosierdzia.

Filozof, wierny rozkazóm króla, niebawiąc stanął przed bramą pałacu obyczaju chrześcjańskiego z tysiącem trębaczów—wszyscy mieli na oczach zielone umbrelki, a widząc, że nikt się przed niemi nie zjawia, nikt z pałacu nie wychodzi, kazał trębaczóm trąbić.

I tysiąc trębaczy potężnie w tysiąc trąb zadęło.

Kiedy już się ich płuca tak wysiliły, iż wszystkich twarze zsiniały, na chwilę odetchnąć musieli.

Patrzą — aż oto w bramie ukazują się parami młodzieńce w komżach, za niemi poważny kapłan, starzec w komży i stule, a obok niego dwóch kleryków.

Jeden z nich trzymał kropielnicę z wodą święconą i kropidłem, drugi rytuał kościelnych obrządków.

Na ten widok cofnęli się z jakiemś niedowierzaniem przerażeni trębacze; tylko jeden filozof dotrzymał kroku.

I w mgnieniu oka otoczyli go klerycy; ksiądz przystąpił do niego, wziął w rękę rytuał i począł szukać karty *exorcyzmów;* nakoniec, znalazłszy ją, pokropił wodą święconą trębaczy i filozofa.

Trębacze wrzaśli i uciekli.

Filozof mruczał tylko cóś pod nosem i ozwał się do kapłana po łacinie temi słowy—

„Cóż to? klechu! masz mię za opętanego?—ja jestem filozof."

Kapłan. Przepraszam, bracie mój!—jam sądził, żeś chrześcjanin. Widząc ciebie stojącym z bladém obliczem, z wygasłém okiem, pośród tylu ludzi posiniałych od zbytecznego trąbienia, zapewne w celu ogłoszenia czegoś miastu tak cichemu i spokojnemu, że dość jednego trochę podniesionego głosu, żeby być słyszanym od ludzi w pobliżu się znajdujących, musieliśmy wnosić, miły bracie filozofie, że ty i twoje trębacze alboście nigdy do zupełnego rozumu nie doszli, alboście go kiedyś posiadali, a potém utracili, alboście od złego duchwa napastowani. Ponieważ piérwsze dwa przypuszczenia są mniéj dla was pochlebnemi a miłość chrześcjańska każe najlepiéj trzymać o bliźnich, więcześmy musieli oprzeć się na trzeciém najchlubniejszém dla was przypuszczeniu, to jest, żeście od złych

duchów nagabani: bo wiadomo, że to się i świętym ludziom dla doświadczenia ich cnoty przytrafia."

„Trzy atoli są rodzaje napaści wroga dusz naszych; zowią się: *possessio*, *obsessio*, *circumsessio*. *)"

Potém zamilkł ksiądz.

Podobało się filozofowi to szczére tłómaczenie, zwłaszcza owa teologiczna dystynkcja opętania. Był on autorem wielu dzieł o *psychologji*, przytém gorliwym *promotorem* magnetyzmu zwierzęcego. Nadewszystko wielką mu sławę zjednało ostatnie jego pismo o *demonologji*, w którém genjalny swój systemat rozwinął względnie starożytnych *Sybilleńskich* wyroczni. Rozmyślał już więc uczoną dyskussję zawiązać z kapłanem. Wszakże, przypomniawszy sobie obowiązek powierzonéj sobie misji, wyszedł ciężkim krokiem z koła otaczającego go duchowieństwa. Potém, przywoławszy trębaczy, kryjących się za poblizkiemi domami, i uczyniwszy protestację przeciw dalszemu kropieniu wodą święconą, z wielką powagą temi się ozwał słowy—

„Ja, filozof niemiecki, jeden z siedmiu, co dniem i nocą na majestat nieśmiertelnéj *sofji* patrzymy—"

„W imieniu króla czystego rozumu i całego wojska jego wyzywam na dysputę uczoną króla wa-

*) Teologiczne nazwy rozmaitych rodzajów *opętania*.

szego, co go zowiecie obyczajem chrześcjańskim, i cały wasz narod."

„A to pod następującemi warunkami:"

1. „Plac dysputy ma być rynek w *grodzie posilenia*, gdzie się znajdują najlepsze wasze zakłady."

2. „Każdy z waszych filozofów (jeśli ich macie) będzie musiał odpowiedzieć ustnie lub na pismie na zarzuty każdego naszego filozofa, i zwyciężyć go gruntownemi argumentami."

„A czy te wasze wywody dobre będą, czy nasze lepsze? rozsądek tego ma być zdany na tych, którzy ani są filozofami, ani uczonemi, ani literatami, ani posiadającemi żadnéj rzeczy, która ich jest."

„Lecz ludźmi w *stanie natury* żyjącemi, który (jak wiécie czy nie wiécie) jest stanem *normalnym* człowieka, stanem zdrowego, prostego rozumu, wszystko przenikającego mocą *intuicji*."

„Jesto to najprzedniejszy sposob zachowania najsciślejszéj bezstronności. Bo kto nic nie umié, ten do żadnego stronnictwa nie należy, tego prywata nie pociągnie za tym, co umié cóś, w téj lub owéj partji."

3. „Jeśli przy nas zostanie zwycięztwo, król wasz i cały wasz nierostropny narod powinni ustąpić z tego miasta. Wszakże dla wypełnienia wszystkich prawideł królowéj naszéj filantropji, dozwoli się wam, a nawet przykaże się wam zabrać z sobą

krzyż ów świecący na waszéj najwyższéj świątyni, który nam wszystkim wygryza oczy."

„Zgoła, wszystkie wasze krzyże, kropiłnice, ornaty, biblioteki i sprzęty kościelne."

„*Item* chorych, starych, nędzarzy, żebraków, kalek, słowem, wszystkich szpitalników."

„Inne zaś wszystko macie nam zostawić."

„Przeciwnie, jeśli my zwyciężeni będziemy, wszyscy spokojnie wyruszymy z tego miasta waszego."

„A królowi waszemu dostanie się w zdobyczy Kameleopard z tronem i teleskopem, owe cudo natury i kunsztu."

„Przytém wszystkie nasze dzieła, zbiory uczone i narzędzia kosztowne, którychby inaczéj za żadne krocie nigdziebyście dostać nie mogli — tak są wysokiéj ceny."

I przestał mówić filozof.

A tysiąc trębaczy chciało już powtórnie na konkluzję zadąć w tysiąc trąb; ale filozof znakiem ręki zabronił im tego, bo lękał się kropidła.

Kapłan po krótkiém milczeniu tak odpowiedział—

„Nie jest to rzecz moja dać wam odpowiedź na wasze wyzwanie, lecz doniosę o tém, komu należy."

„Zatrzymajcie się chwilkę; wkrótce otrzymacie stosowną odprawę."

I przeżegnawszy filozofa krzyżem ś., wrócił ka-

płan poważnie z klerem do pałacu, zaintonowawszy wprzód hymn kościelny: *Veni Creator Spiritus!*

Filozof, na czele tysiąca trębaczy, z niecierpliwością czekał odpowiedzi pod bramą pałacową. Ciągle nasuwali sobie mocniéj na oczy *umbrelki zielone*: tak im blask krzyża z klejnotów potężnie wzrok raził.

Wkrótce ukazał się na ganku pałacowym wśród orszaku bogato ubranych paniąt wspaniały starzec, w ubiorze poważnym mędrców piérwszych chrześcjaństwa wieków.

I rzekł do filozofa—

„Jestem jednym z dwónastu starszych téj krainy, i przynoszę ci odpowiedź na twoje wyzwanie.

„Wielka sławą i zacnością pierworodna córa króla naszego obyczaju chrześcjańskiego zgadza się na wasze żądanie, aczkolwiek w swych warunkach jest niedorzeczne.

„Jutro, kiedy słońce najwyższe na niebie zajmie stanowisko a krzyż nasz ś. rozsiewać będzie zbawcze swe promienie, ona sama uda się do miejsca przez was wskazanego dla rozwiązania wszystkich waszych zarzutów i trudności."

„Idźcie więc teraz w pokoju, jeśli możecie, i nie trąbcie przed czasem o waszém zwycięztwie, boby to wam w końcu na większy srom wyszło."

To wyrzekłszy starzec, wrócił do wewnętrznych komnat pałacu.

A filozof uradowany pośpieszył do *grodu posilenia* zdać sprawę swojemu królowi z pomyślnego skutku swojego poselstwa.

Lecz przeciwne zupełnie zrobiło ono wrażenie na umyśle króla.

Zaledwie bowiem posłyszał z ust filozofa, że tylko słaba, młoda niewiasta stawić się ma nazajutrz na dysputę z całém jego wojskiem czystego rozumu, mocno się zapłonił od gniewu i natychmiast zwołał swoję wielką radę.

Filozofowie na takową wieść jeszcze mocniéj od króla oburzyli się; niektórzy z nich wołali —

„Jak to! młodą, niedorzeczną jakąś kobiétę wysyłać do rozprawienia się z mędrcami!"

„Onać to ma ośmielić się roztrząsać nasze systemata?"

„To jest niesłychana obelga, za którą, Najjaśniejszy Panie, trzeba żebyś się pomścił i całe to głupie miasto zburzył."

Inni wyrozumialsi, (a byli to filozofowie krajów francuzkich i sławiańskich), przeczyli, żeby to było zniewagą wyrządzoną ich godności, a na poparcie swego zdania przytaczali przykłady rozmaitych słynących z rozumu niewiast.

Począwszy od Debory, prorokini ziemi izraelskiéj, wymieniali królowę Sabę, Safonę i wiele innych, nawet poczciwą naszę P. Drużbackę.

Lecz król wahał się na obie strony, i nie wiedział, co przedsięwziąść.

Na nim widocznie sprawdzały się tajemnicze przestrogi maga, tyczące się Kameleoparda.

Póty bowiem nadzwyczajną nauką i przezornością się cieszył, póki na tém misterném żwierzęciu siedział; lecz skoro tylko nogą ziemi się dotknął, równał się rozumem z najprostszym z swoich żołdaków. O tém był przekonany mocno filozof niemiecki, dawniejszy właściciel Kameleoparda; lecz drudzy tylko domyślali się téj tajemnicy. Niemiec więc obrócił się do orszaku królewskiego, i rozkazał, aby wyprowadzono na plac Kameleoparda.

Król, nagłą pomyślnością uzuchwalony, chciał wmówić sobie i filozofóm, że on nie potrzebuje tych nadzwyczajnych środków do ważnych swoich zamiarów. Rzekł więc z niecierpliwością do filozofa—

„Cóż to znowu? chcesz żebym po obiedzie na tę niewygodną drapał się bestję. Czyż to ja bez niéj rozkazów potrzebnych dać nie potrafię? A kiedy już koniecznie trzeba z wyższego stanowiska na rzeczy zapatrywać się, każ mnie na bilardzie postawić stół, a na stole krzesło— to mnie lepiéj posłuży, jak ten głupi Kameleopard."

„Bodajby piorun w niego trzasł!— tak mi już on dokuczył!"

Filozof niemiecki, bacząc że gniew królewski i nader gminne jego wyrazy na pośmiewisko naraża-

ją wysoką jego godność, dla uniknienia zgorszenia większego, czém prędzéj rozkazał, aby spełniono królewską wolę.

Postawiono więc stół na bilardzie, a na stole krzesło; a kiedy król za pomocą dworzan zasiadł na wysokiém miejscu, wszyscy w milczeniu głębokiém oczekiwali słów jego; i dość długo wielka cichość panowała, którą w końcu sam król w smutku pogrążony temi przerwał słowy —

„Niéma ratunku! Przyprowadźcie przeklętego Kameleoparda. Taką mam dzisiaj *migrenę!* — widzę, że żadnéj myśli skupić nie zdołam."

Wkrótce stanął przed pomieszkaniem królewskiém Kameleopard.

Zaledwie z wielkim trudem króla na nim posadzono, zaraz mu przecudnie zajaśniało oblicze. I wnet takie z ust jego wyszły rozkazy —

„Względnie odpowiedzi, danéj przez nieprzyjaciela na dzisiejsze nasze wezwanie, tak postąpić:"

1. „Wzgardzić zarozumiałą niewiastą."

„Zatém ani nasza królewska osoba, ani żaden z naszych hetmanów-filozofów nie będzie jéj się stawił na dysputę; lecz każdy ma w domu siedzieć, lub innym ważnym swoim pracóm czas poświęcać."

2. „Pomścić się za zniewagę nam uczynioną; a na to dość będzie, ażeby nasza ulubiona małżonka, królowa filantropja, w całym swym rodzimym blasku ukazała się przed nieroztropną kobiétą, co

tu na dysputę ma przybyć, i dobrze ją zgromiwszy, precz odpędziła."

„*Sic nobis placet! Dixi.* *)"

Wszyscy filozofowie wielce radośni, że król wymowę swoję odzyskał w tak ważnéj okoliczności i tak przedziwne uczynił postanowienie, jednogłośnie zawołali—

„*Vivat rex in aeternum cum Camelcopardo!*" **)"

Potém znieśli Jego Królewską Mość z wysokiego tronu.

Król, stanąwszy na ziemi, rad był także, że powrócił do swego ulubionego *incognito*, a jako pan wielce popularny, wesoło rozpoczął z jednym z swoich dworzan partję biłardu.

Tak tedy najpiérwszego rzędu filozofowie, uczeni, dziennikarze i juryści zupełnie przestali myśleć o jutrzejszéj dyspucie, jeno uczone artykuły prozą i wierszem przyspasabiali, których treścią było zdanie sprawy całéj wojennéj wyprawy i tryumfu niezawodnego wojska czystego rozumu; chcieli je mieć wcześnie ukończone, ażeby po odniesioném zwycięztwie natychmiast mogli je kurjerem przesłać do gazet kraju swego.

Co się tyczy sawantów podróżników, ci od chwili wtargnienia wojska czystego rozumu do kraju i stolicy obyczaju chrześcjańskiego bynajmniéj

*) Tak się nam podobało! Rzekłem!

**) Niech żyje król na wieki z Kamelcopardem!

nie troszczyli się o skutki całéj téj wyprawy; mieli bowiem własne swoje daleko wyższe cele.

Każdy z nich obrał sobie pewną część miasta i okolic jego za przedmiot swych uczonych badań; a że każdy także dawniéj już był ogłosił drukiem ważne rozprawy o téj przez siebie nigdy niewidzianéj stolicy, więc pobrawszy z sobą swoje dzieła, poczęli z osowiałym wzrokiem przypatrywać się gmachóm, posągóm i innym okolicznościóm; wszędzie ich bowiem swobodnie puszczano i wszystko z największą uprzejmością pokazywano.

Nic więc nie uszło ich roztrząsania.

Tylko w domach Bożych krótko bawili, i czynili uwagę, że lubo tam się znajdują godne znawców płody kunsztu, nie może z nich artysta i uczony korzystać z powodu fałszywego światła, w którém są umieszczone, a które pochodzi od jaśniejącego krzyża na najwyższéj świątyni.

Nic pytali się także mieszkańców o nic.

Kiedy ci chcieli udzielić im jakich szczegółów tyczących się kraju i obyczajów jego, sawanci to ozięble przyjmowali, twierdząc, że w ich własnych księgach rzeczy te daleko dokładniéj opisane.

A jeśli spotkali męża sprawującego ważny jaki urząd, o którym ich dzieła nie czyniły wzmianki, to oni mówili— „Ten urząd i człowiek w naszém dziele nie znajduje się, to też nie jest prawdziwy urząd ani prawdziwy człowiek, tylko *mythus*, o któ-

rym ci nieroztropni mieszkańce nic nie wiedzą; i to trzeba w przypiskach nowego wydania dzieł naszych objaśnić."

A kiedy postrzegli gmach wspaniały, przeznaczony na obrady narodowe, ozdobny najwyższym architektonicznym kunsztem, w którym przewyborny pędzel i rzeźba wyrażały dzieje tego kraju, to oni słuchać nawet nie chcieli uprzejmych ludzi, co im te rzeczy gotowi byli tłómaczyć, ale wprzód do ksiąg i rysunków swoich zazierali, a potém tak odzywali się do mieszkańców—

„Wasi przodkowie gmach ten wystawili, a wyście przeznaczyli go na obrady wasze— a wiécież sami, co te malowidła i rzeźby znaczą?"

„Oto pod figurą waszych małoważnych dziejów narodowych ukryte są hieroglificznie obróty ciał niebieskich, rachuby astronomiczne, owoce kilkutysiączno-letnich obserwacij."

Tym trybem postępowali uczone podróżniki.

Zbierali starannie: kamyki, ułamki starych murów (najmilsze im były w tym rodzaju szczątki tak nazwanego *opus reticulatum*) *)— stare pieniądze, medale, zioła, krzewy, nasiona kwiatów; zakupywali rzadkie źwierzęta i kollekcje najcudniejszych motylów tworzyli; słowem, każdy się szczycił naj-

*) Pewien rodzaj murów starożytności pogańskiéj, których rzadkie bardzo szczątki wielce są poszukiwane przez antykwarjuszów.

droższemi exemplarzami *Flory* i *Fauny* krajów zwiedzonych przez siebie.

A lubo w swych systematach nauk przyrodzonych wielce między sobą się różnili, jedną jednak zasadę wszyscy zgodnie przyjęli: nie pisali dzieł na poparcie i tłómaczenie rzadkości przez siebie w podróżach odkrytych, ale owe rzadkości na kupę gromadzili i używali ich na poparcie i wytłómaczenie dzieł, które ich twórcza fantazja *a priori* światu objawiła.

W taki sposób zbogaceni ogromnym zapasem uczonych badań i zbiorów, z tryumfem wrócili do głównéj kwatéry wojska czystego rozumu.

XV.

Walna bitwa.

XV.

Walna bitwa.

Ukazał się nakoniec dzień przeznaczony na dysputę.

Zbliżała się chwila, w któréj słońce wstępowało na zenit, a krzyż Pański najmocniejszy blask swój po całym rozlewał świecie.

W grodzie posilenia wielka panowała cichość. Stosownie do rozkazu królewskiego, wszyscy wojownicy w zupełnéj, rozmyślnéj zostawali nieczynności.

Jedni w komnatach, dobrze od słońca obwarowanych, drudzy w roskosznym cieniu rozłożystych drzew oddawali się bezpiecznie tym błogim duma-

niom, które mieszkaniec italskiéj ziemi tak dobitnie wyraża przez swoje: *dolce far niente* *).

Tylko królowa filantropja mocno była zaprzątniona wyprawą, która jéj była od króla poruczoną. Stroiła się jak najwykwintniéj, *en amazone*, albowiem w takim-to *kostiumie*, na koniu angielskim i damskiém siodle, postanowiła wystąpić na czele orszaku podobnie ustrojonego na plac oznaczony do dysputy.

Miała niby trefunkiem spotkać się z oczekiwaną nieprzyjacielską królewną, jak Elżbieta, królowa Anglji, z Marją, szkocką królową, w sławnéj scenie tragedji Szyllera, i niemniéj świetny nad swoją przeciwniczką odnieść tryumf.

Zaledwie czysty dźwięk spiżu z najwyższéj wieży dwónastokrotném powtórzeniem objawił południową chwilę, wnet dały się słyszyć zdala pienia najsłodszych głosów, bez żadnych instrumentów.

Była ta cudowna harmonja z kilku małoletnich, młodzieńczych i męzkich chórów złożona, które gdy zbliżyły się, takie słowa popłynęły strumieniem nadziemskiéj prawie melodji:

„Wysławiajmy męże chwalebne i ojce nasze w rodzaju swoim."

„Wielką chwałę uczynił Pan wielmożnością swą od wieku."

*) *Słodkie próżniactwo.*

„Panujące we władzach swych ludzie wielkiej mocy, i mądrością swą obdarzeni, pokazujący w pismach prorockich zacność prorocką—"

„I rozkazujący ludowi czasu swego, i mocą roztropności ludziom najświętsze słowa—"

„Umiejętnością swą wynajdowali śpiewania, rytmem pisma składali, i wiersze pisma wykładali."

„Ludzie bogaci w mocy, starający się o poczciwość, doma spokojnie mieszkający—"

„Ci wszyscy w rodzajach narodu swego sławę otrzymali, a za dni swoich byli w pochwaleniu."

„Którzy się z nich narodzili, zostawili imie, aby opowiadano chwały ich."

„A są, których niémasz pamiątki, zginęli jako ci, których nie było, i narodzili się jakoby się nie rodzili, i synowie ich z niemi."

„Ale oni są ludzie miłosierdzia, których pobożności nie ustały. *)"

Słowa te święte były przez dwa chóry naprzemian śpiewane.

Jeden wiersz przez jeden chór, a następujący przez drugi, stosownie do rytmu świętego kantyku.

Wkrótce potém na plac wyznaczony do walki rozwinęła się długą wstęgą wspaniała processja.

Szły naprzód w białych szatach małoletnie dziatki, trzymając się za ręce.

W wolnym ręku miały róże, a na skroniach

*) Eklesiast. r. 44. w. 1—10. Wujek.

wieńce z lelji; a ponieważ zaledwie ziemię poznały, więc bardzo były radośne.

Za niemi, w lekkiéj świecącéj zbroi, postępowali młodzieńce urodziwi.

W ręku, miasto miecza, mieli kostur pielgrzymski, a na skroniach, miasto leljowych wieńców, cierniowe.

Ci już część drogi ziemskiéj odbyli i byli pełni dobréj nadziei.

Daléj się ukazali dojrzałe, silne męże, od stóp do głów zbrojne, a pancerze ich pordzewiały ode krwi z potem zmięszanéj.

Ręce ich nie były uzbrojone mieczem, lecz krzyżem, który lekkim się wydawał w ich prawicy, lubo się oni na nim bezpiecznie spierali.

Hełmy ich były w całości, lecz gęsto od oręża pokarbowane.

Ci połowę już wędrówki ziemskiéj ukończyli, i nie byli smutni, ale poważni.

Po nich następowali starce.

Ci, jak z przodku dziatki, byli w szatach białych, trzymali się jedną ręką, w drugiéj mieli róże, a na skroniach wieńce z lelji.

I równie byli bardzo radośni, bo już byli blizcy mety swéj ziemskiéj pielgrzymki.

Szereg dziatek był dziewięćkroć razy liczniejszy od grona młodzieńców.

A młodzieńców grono było siedmkroć razy liczniejsze od orszaku mężów dojrzałych.

A orszak mężów dojrzałych był trzykroć razy liczniejszy od szeregu starców.

I wszystkie te cztéry oddziały to naprzemiany śpiewały (młodzieńce po dziatkach, a starce po mężach dojrzałych);

To połączały się w dwa wielkie chóry młodzieńczych i poważnych głosów, jeden drugiemu rytmicznie odpowiadając.

To znowu wszystkie razem zlewały się jakby w jedno morze Boskiéj harmonji, w którém najsłabszy dźwięk nie tracił swéj czystości, lecz wszystkie najsłodsze melodje w jedną czarującą całość ożenione były.

Nakoniec, na szczérozłotym tronie, ozdobionym w górze krzyżem z brylantów, który dwónastu magnatów jaśniejących drogiemi klejnoty dźwigało, ujrzano młodą dziewicę w szatach podobnych do tych, które znakomite niewiasty piérwszych chrześcjańskich wieków zdobiły.

Nadzwyczajna była jéj uroda.

W twarzy łagodność i powaga tak się pospołu ważyły, iż łacno było wyrozumieć, jak w duszy dziewicy miłosierdzie górę wezmie nad ścisłą sprawiedliwością.

Jeden tylko wyraz na jéj wspaniałém, słodkiém

obliczu był najwybitniejszym— wyraz cierpliwości żadną przeciwnością niezachwianéj.

Dwanaście magnatów, dźwigających tron, byli najsłynniejsi z prawości i czystości serca męże.

Cztérech było z królewskiego stanu.

Cztérech z rycerskiego.

Cztérech z rolniczego.

A wszyscy równie mieli świetne szaty: bo klejnoty wszystkich były misterne, jak te, które pierś wielkich kapłanów Izraelu okrywały.

Wyrażały cnoty tych, których zdobiły.

Blask ich, połączony z blaskiem krzyża w górze tronu, odbijał się przecudnie od oblicza dziewicy, na nim poważnie siedzącéj.

W lewym ręku trzymała jabłko złote krzyżykiem ozdobione, godło świata męką Pańską odkupionego.

A w prawym, miasto berła, trzymała dzidę złotą, na pamiątkę włóczni, którą serce Pańskie przeszyto, a którą ona serca śmiertelnych także wskróś przenikała.

Na głowie nie miała korony, lecz wieniec z bluszczu; włos jasny, obfity, w powiewne warkocze spadał na ramiona.

Tak wielkie strumienie światła spływały na jéj oblicze, iż czoło i wszystkie rysy twarzy ukazywały się jakby pod przezroczystym welonem, z promieni złotych utkanym.

Po obu stronach tronu postępowało także dwónastu w bogatych szatach dostojnych mężów, sześciu z jednego boku, a sześciu z drugiego.

Byli to filozofowie chrześcjańscy, najsłynniejsi męże w całym kraju.

Cztérech było z królewskiego rodu.

Cztérech z rycerskiego.

Cztérech z rolniczego.

A jeden mąż z każdego z tych trzech stanów trzymał w ręku wielką księgę.

Nie było między niemi i tymi, co tron dźwigali, istotnéj różnicy, bo wszyscy mieli kapłańskie oblicza i światło Boże w oczach.

Pośród rynku grodu posilenia wznosił się odwieczny głaz niepospolitego ogromu, miał bowiem sześć sążni wysokości a dwanaście szérokości.

Należał do gatunku porfirów wschodnich. Odwieczne podanie niosło, że cała posada ziemi, na któréj stolicę obyczaju chrześcjańskiego zbudowano, obfita była w podobne głazy, które przez długi ciąg wieków na fundamenta miasta używano; tylko ten jeden odłamek na swém miejscu pozostał, albowiem oparł się wszystkim narzędziom i fortelóm mechaniki.

Późniéj wskazało doświadczenie, że ten wypadek wielce był korzystnym dla téj stolicy, albowiem nader dziwny fenomen natury wkrótce wszystkim objawił przeznaczenie tego głazu.

Za każdém ukazaniem się jakiego bądź rodzaju głupstwa, fałszu, obłudy, w mowach, pismach lub postępkach mieszkańców, tumany podobne do tych, które nad oparzeliskami się wznoszą, ze wszech stron miasta sciągały się i kupiły około téj skały; w miarę zaś wzmagających się błędów, coraz wyżéj się wznosiły i mocniéj przylegały do głazu, tak, że czasem zupełnie był on przez nie zakrytym.

Po rozproszeniu błędów, mgły te opadały i znikały zupełnie, i znowu w pierwotnym swym kształcie ukazywał się potężny głaz. Próżno przemysł mieszkańców niektórych wszystkich użył środków do przekrócenia tego niemiłego zjawiska. Słowem, jak owe słynne w starożytnym Egipcie *Nilometry* *), był to pomnik służący za rzetelny miernik wylewu głupstwa ludzkiego.

W pospolitym biegu rzeczy stawiano na tym głazie szale wielkiéj dokładności, które objawiały wagę i wartość wszystkich do powszechnego użytku służących przedmiotów.

W tym więc celu dla wygodnego wstępu na skałę sporządzono dwanaście pięknych marmurowych stopni; sama zaś powierzchnia głazu, najstaranniéj polerowana, wabiła oko rozmaitością i barwą swych przyrodzonych skaz i wzorów.

Od chwili przybycia do téj części miasta woj-

*) Pomniki w starożytnym Egipcie, których przeznaczeniem było służyć za wymiar zalewów Nilu.

ska czystego rozumu, zwykły pojawił się niemiły fenomen: skała w gęstéj nieprzezroczystéj mgle znikła. Dopiéro po ukazaniu się na tym placu dziewicy na tronie, nagle pękły tumany i skała w dawnéj swéj postaci w oczach wszystkich stanęła.

Na téj więc mocnéj podstawie dwónastu magnatów złożyło tron złoty z dziewicą, potém półkołem ją okrążyli.

Na stopniach, we dwa rzędy, stanęło drugich dwónastu mężów dostojnych, którzy księgi w rękach nieśli.

Za niemi, tym samym porządkiem, zajęli miejsca starce, zbrojni rycerze i młodzieńce, a na samym przodzie dziateczki, u stóp skały, jakby nadobnym wieńcem cały orszak dziewicy opasały.

Wszystkie te ruchy w przedziwnym porządku z największą spokojnością się odbyły, a pieśni święte nieustannie brzmiały.

Tymczasem na drugim końcu rynku wielki się także ruch ukazał.

Królowa filantropja, spostrzegłszy z okien pomieszkania swego zbliżającą się processję, szybkim krokiem wyszła na plac.

W bardzo wykwintnym stroju amazonki, zgrabną rączką potrzaskiwała złotym szpicrutem w klejnoty osadzonym, i kazała sobie czémprędzéj konia podać.

Stał w pogotowiu pyszny jéj rumak. Cały dwór

królowéj i wszyscy najpiérwsi wodzowie dobijali się o zaszczyt towarzyszenia Jéj Królewskiéj Mości; lecz ona z czarującym uśmiechem złożyła dzięki za dobre chęci, i tylko do swéj kalwakaty przeznaczyła Apollina swego nadwornego z dziewięcią muzami i tyląż im assystującemi literatami, dodając uprzejmie: „że ten kwiat Parnassu aż nadto był dostatecznym do zakończenia pomyślnie całéj téj wyprawy."

Potém lekko z niewypowiedzianą gracją wskoczyła na siodło damskie.

Za nią, po lewéj stronie, nieco opodal, na dzielnym koniu, w ciągłych szprynglach sadził Apollin nadworny, a w jego ślady poskoczyły wszystkie dziewięć muz, także *en amazones* wystrojone.

Towarzyszył każdéj odpowiedni literat.

Lecz ci wszyscy byli smutni; albowiem z powołania swego mało-wprawni do konnéj jazdy, w ciągłéj byli obawie, ażeby dzielne rumaki nie wypowiedziały im posłuszeństwa.

Jedni więc z nich trzymali się za grzywę, drudzy rozkaraczali nogi w strzemionach, jak czaple skrzydła, kiedy się zabierają do lotu, ciągle przytém ozierając się na orszak dwódziestu cztérech *dżokiejów* za niemi biegący, wołali, żeby im przyszli w pomoc.

Ale te psotniki mało na ich trwogę zważali,

udając, że nic słyszą rozkazów. Nadto jeden z nich dość głośno temi się ozwał słowy—

„Dziwna rzecz! każdy z tych panów poetów i literatów chlubi się, że niemal od dzieciństwa ma swojego pegaza, na którym codzień jeździ, że to ma być szkapa po jakimś sławnym stadniku, co go także zwano pegazem."

„A! słyszałem, słyszałem— rzecze drugi— o téj pocieszněj *baneluce*. Mówią, że ten stadnik miał się chować w jakimś futorze w greckim kraju, co go zowią Parnassem, czy jak tam u licha?"

A trzeci im przerwał— „Głupcy! jakże to może być *baneluka*, kiedy niéma prawie dnia, żeby o to nie przyszło do bójki między temi paniczami, dla tego, że każdy z nich utrzymuje, że on jeden ma tylko prawdziwego potomka po tym zawołanym pegazie, a wszyscy klną się na te swoje panny, że byli na Parnassie— A patrzcie no! jak oni wszyscy po łacinie na koniu siedzą, jak ich pegazy na kieł biorą."

Nieprzyzwoite te żarty gawiedzi dochodziły do uszu dziewięciu muz, które śmiało i zręcznie dosiadywały swych koni.

Poczęły się więc tém mocno gorszyć i litościwie patrzyć na swych literatów, co ich w większą jeszcze złość wprawiało.

Królowa tymczasem małym galopem postępo-

wała. Z początku jakąś mimowolną trwogę w niéj wzbudzały nieustające dotąd śpiewy uroczyste.

Lecz kiedy król, który trochę podchmielony w oknie swego pomieszkania siedział, do przejeżdżającéj zawołał (wskazując na dziewicę na tronie)— „Proszę cię, kochanko, naucz-no dobrze *mores* téj komedjantce!!"— filantropja razniéj na przód poskoczyła, a w jéj ślady cały orszak królowéj.

Ale zaledwie zrównała się z posadą tronu, zatrzymała się i pójrzała w oblicze dziewicy na nim siedzącéj, poczęła naprzemiany to czerwienieć, to blednieć, drżała cała jak liść jesienny; twarz jéj nadzwyczajne wysilenie zdradzała.

Widać było, że bezskutecznie pragnęła stłumić uczucią i słowa, które przemocą przez usta konwulsyjnie drgające zdawały się przedzierać. Nakoniec takie żałośne skargi z głuchym jękiem i łkaniem wyrwały się zgłębi przepełnionych piersi filantropji—

„Prędzejbym się była najsromotniejszéj śmierci spodziewała, jak tego okropnego losu, który mnie teraz spotyka."

„Oto nieprzezwyciężona moc jakaś zmusza mnie objawić to, cobym wiecznie ukrywać powinna."

„Próżno się z nią od chwili na śmierć passuję— czuję, że-bym dalszą walkę życiem przypłaciła."

Tu z głosem rospaczy, cała jakby w płomieniu zawołała—

„Apollinie! muzy! wy wszyscy zwolennicy moi! wiedzcie o tém, że ta dziewica na tronie była niegdyś moją panią, a ja, nieszczęśliwa królowa, do jéj fraucymeru należałam" .....

„Przeklęte na wieki to spotkanie, które mnie, wspaniałą filantropję, do takowego wyznania zmusiło!" .....

To wyrzekłszy, poczęła omdlewać i słaniać się. Koń jéj raźny, poczuwszy w opuszczonym lejcu słabość drżącéj ręki, przytém spłoszony blaskiem złotego tronu, w bok się rzucił i począł nosić filantropję w przeciwną ulicę.

Apollin nadworny, postrzegłszy niebezpieczeństwo królowéj, spiął ostrogami swego rumaka i poleciał w jéj ślady dla przyniesienia ratunku.

Za nim wszystkie muzy z swemi literatami i dwódziestą cztérma *dżokiejami* z wielkim krzykiem czwałem pobiegli.

W mgnieniu oka z całego orszaku królowéj nie pozostała ani jedna osoba na placu, a król ciągle patrzał przez okno, wesół, nie biorąc tego na serce, tylko się jeszcze serdeczniéj śmiał.

Tymczasem filozofowie, uczeni i wielu naczelnych wodzów wojska czystego rozumu, nie zrozumiawszy zdala powodów ucieczki królowéj, obojętnie z domów swoich przypatrywali się tym wypad-

kóm; nakoniec, przynęceni ciekawością i piękną melodją, poczęli po jednemu na plac wychodzić i coraz się więcéj zbliżać do dziewicy na tronie.

Jedni się z niéj natrząsali, drudzy dobywali z kieszeni *sztambuchy*, dla zanotowania pokrótce tych ciekawych okoliczności.

Inni z pogardą największą patrzali na wszystko; wszakże przysłuchawszy się lepiéj owym słowóm ś. kantyku: „*Wysławiajmy męże chwalebne*" etc., wszyscy w dobry humor wpadli.

Bo każdy z nich mówił sobie pocichu: „To o mnie mowa — i to niezła piosneczka — i ta niewiasta nieźle wygląda."

I wielu już ich zebrało się u stóp skały, na któréj tron dziewicy umieszczono.

Wtedy na jéj skinienie pieśni ucichły i wielkie nastąpiło milczenie, a wspaniała dziewica temi się ozwała słowy—

„Jam jest opinja panująca w narodzie chrześcjańskim, z woli wysokich i nizkich, mędrców i prostaczków, szczęśliwych i nieszczęśliwych, a ojciec mój jest od wieków w téj krainie, dzierżący władę obyczaj chrześcjański."

„Cała potęga, sława i świetność panowania mojego gruntuje się jedynie na sławie, potędze i zgodzie rozumnéj tych wszystkich, co mnie za królowę obrali. I dla tego teraz nie przemawiam do was, (jak czynią pospolicie władcy ziemi), głosem

którego z moich magnatów: bo nie jeden tylko zna zamiary moje, którychby drudzy nie wiedzieli, ale każdy, od najwyższego do najmniejszego, czyta w duchu i sercu mojém własne swoje poczciwe myśli i ślachetne uczucia, i cieszą się, iż Bóg w swém miłosierdziu puścił na ziemię głos, który jedną, wspaniałą, prawdziwie królewską mową objawić potrafi wszystkich zacne myśli i najdroższe uczucia."

„A tak, otoczona nadobnym wieńcem wszystkich stanów i pór życia towarzyskiego, ja, królowa świata, który Pan krzyżem świętym oczyścił, poświęcił i zbawił, przybyłam z litości i miłosierdzia do téj części miasta gminnéj, którąście sami obrali."

„Pośpieszyłam do was, naczelników wojska czystego rozumu. Gotowam spełnić wszystkie wasze rozumne żądania, udzielić wam rady, nauki i rzetelnéj pociechy ducha."

Potém zamilkła dziewica i spuściła oczy. Jedna cudowna okoliczność w jéj mowie odrazu wszystkich wielkiém przeraziła podziwieniem.

Oto, lubo ona językiem kraju swojego odezwała się, przecież od ludzi najprostszych, najrozmaitszych narodów, którym ta mowa zupełnie była obcą, doskonale została zrozumianą.

Cud ten się odnawiał, ilekroć dziewica głos zabrała; albowiem na pytania rozlicznemi językami

jéj czynione, nigdy jednak własnéj swéj mowy nie zmieniała.

Piérwszy z grona filozofów wystąpił Francuz szkoły eklektyków, podług ostatniéj mody, z wielką starannością wystrojony, i grzeczny uczyniwszy ukłon dziewicy na tronie, rzekł z przymileniem—

„O Pani! tak wspaniałą i pełną wdzięków jesteś damą, tak słodkie i czarujące słowa płyną z pięknych ust twoich, iż mnie nie zadziwia, żeś tak obszérną krainę wymową twoją podbiła. Przewiduję nawet, że wkrótce *l'univers sera à vos pieds, Madame!* *)"

„Gdyby moje zdanie otrzymało piérwszeństwo, całe nasze wojsko z roskoszą złożyłoby u nóg twoich broń swoję i poczytałoby się szczęśliwém być zwyciężoném od tak pięknéj ręki. Ja sam oświadczam, że, byle mnie król uwolnił od słowa honoru, którém zapewniłem mu pomoc oręża mego, gotów jestem zapisać się w poczet twoich rycerzy i obrońców. *Mais l'honneur...* **)"

„*Ey! was?*— przerwał mu mowę filozof Niemiec, najpiérwszy powiernik króla — *das ist Französische Alfanzerey, und kein gescheutes filosophisches Wort!* ***)"

---

*) Świat cały będzie u nóg twoich, Pani!

**) Lecz honor....

***) Ej! co tam! to jest francuzkie błazeństwo; niéma w tém rozumnego filozoficznego słowa!

Potém podniosłszy głos, tak się ozwał do dziewicy po łacinie—

„Mówiąc do ciebie, Pani, używam łaciny, bo ten jest dotąd między uczonémi język urzędowy, zwłaszcza przy zagajeniu sessij akademickich w wielkie uroczystości."

„Lecz skoro przychodzi do rozpraw czysto-filozoficznych, łacina musi ustąpić piérwszeństwa mowie germańskiéj, która *per excellentiam* jest filozoficzną."

„Żadna inna nie zdołała utworzyć: *das Selbstbewustsein*, *das an-und-für-sich-Sein* *) i wiele tym podobnych szczęśliwych wyrażeń bezwzględnéj wiedzy, jak o tém zapewne jesteś przekonana."

„Lecz przed wszystkiém, żądamy od ciebie, dumna opinjo, abyś nam okazała przywileje, na mocy których ośmielasz się nam, filozofóm czystego rozumu, dawać rady i nauki?"

„Żeś pozyskała głosy wszystkich mieszkańców krainy, nad którą panujesz, którzy ciebie obrali sobie za królowę, to dowodzi tylko albo wielką zręczność twoję, albo ciemnotę tych, których umysły pod swoje berło podbiłaś: bo to od wieków wiadomo, że *infinitus numerus stultorum*. **)"

---

*) *Przeświadczenie o swoim bycie. Z sobą i dla siebie bycie*— trudna do wytłómaczenia terminologja niemiecka.

**) Nieskończona liczba głupich.

„Lecz nam, filozofóm niemieckim, innych trzeba dowodów: bo wiedza nie jest ślepa wiara."

„Jeśli więc chcesz zaufanie nasze pozyskać, ukaż nam posadę, na któréj mądrość twoję gruntujesz:"

„Bądź z pism twoich,"

„Bądź z nowych genjalnych myśli twoich,"

„Bądź z wielkich wynalazków twoich."

„Tak jak każdy z nas gotów jest z podobnych dokumentów wykazać ci swój *doktorat*, nie spuszczając się nawet na *patenta*, któremi nas opatrzyły najsłynniejsze uniwersytety."

I przestał mówić filozof, a potém dobył wielkiéj tabakiery i zażył tabaki.

A filozof Francuz pokazywał twarzą i gesty, że to gburne przymówienie się jego kollegi bardzo mu było niemiłém, i że się sromał za niego.

Wtém dziewica na tronie dała znak, i jeden z mędrców królewskiego rodu podniosł wielką księgę, i otworzył ją, i ukazał wszystkim obecnym.

Księga ta zawierała w sobie słowo Boże, Pismo Święte.

A dziewica z niewypowiedzianą powagą rzekła —

„Na téj księdze i na podaniu Kościoła Bożego, opieram nieomylność nauki mojéj niebieskiéj."

Potém jeden z mędrców rycerskiego rodu podniosł drugą wielką księgę, otworzył ją i ukazał wszystkim obecnym.

Było w niéj pismo ludzkie, myśli wszystkich

filozofów chrześcjańskich, o Bogu, o człowieku i o naturze.

A dziewica rzekła — „Na téj księdze opieram całą moję wiedzę ziemską."

Nakoniec jeden z filozofów rolniczego rodu podniosł trzecią księgę największą ze wszystkich, otworzył ją i ukazał wszystkim obecnym.

Była w niéj wierna historja wszystkich dobrych i złych uczynków ludzi, od początku świata, wszystkich ich prawd i błędów.

A dziewica rzekła — „Na téj księdze opieram głęboką moję znajomość serca ludzkiego i miłosierdzia Bożego."

Potém umilkła dziewica na tronie.

Na te słowa wszczął się wielki wrzask między filozofami; z gniewém poczęli wołać —

„Dokumenta, na których opierasz twoję mniemaną mądrość i nieomylność, o dumna opinjo, są żadne!"

„Oto gotowiśmy dowieść ci to uczonemi rozprawami i dziełami naszemi, których, widać, nigdyś nie czytała albo nie zrozumiała."

Jedni tedy przytaczali swoje biblijne exegezy, drudzy swoje rozbiory krytyczne podań Kościoła Bożego, Ojców Świętych i innych mędrców chrześcjańskich, piszących o Bogu, człowieku i naturze, inni jeszcze swoje filozofje historji powszechnéj, które, wedle ich zdania, oddawna wniwecz obró-

ciły podania Kościoła Bożego, Biblję Świętą i wszystkie Ojców Świętych dzieła.

I poczęli wołać na pachołków, ażeby im czémprędzéj na plac znosili ich księgi i rozprawy.

Uczone podróżniki także krzyczeli na swoje sługi, ażeby im podawali ich paki z rzadkościami, które po swoich wędrówkach nagromadzili dla poparcia swoich systematów. Ów chciał jedną rzecz dowodzić, a ten drugą.

I nie mogli się zgodzić z sobą ani na materję dysputy, ani na metodę, ani na sposób walczenia z rozumem dziewicy na tronie, i coraz większy zgiełk i nieład powstawał.

Król, ciągle siedząc w oknie, patrzał na te wszystkie wypadki z największą obojętnością, śmiał się z całego serca i tak do siebie mówił—

„Nieroztropni filozofowie! widzę, że oni téj chytréj niewieście nie sprostają. Ale dobrze im tak, bo już też przebrali miarkę w zarozumiałości. A najwięcéj mnie gniewa ten mój piérwszy minister Niemiec, ten despotyczny, obmierzły, cały zatabaczony pedant."

„Dla tego wielką będę miał pociechę i krotofilę z ich wstydu, kiedy oni jak nie pyszni z placu ustąpią. Wtedy ja sam, wsiadłszy wobec całego wojska na mego Kameleoparda, całéj téj niedorzecznéj dyspucie koniec położę i niewielą słowy pohań-

bię mniemaną mądrość téj zarozumiałéj kobiéty na tronie."

„Ja się nie przelęknę jéj, jak moja biédna żona filantropja, ja mam mocne nerwy. W téj chwili wprawdzie niewielką czuję ochotę do boju umysłowego, ani mnie łatwo przyjdzie koncept do głowy bez Kameleoparda; lecz to jasno pojmuję, że moi filozofowie nie do rzeczy odpowiadają téj dumnéj opinji."

Tymczasem zgiełk i zamięszanie coraz wzrastając, dziewica na tronie podniosła w górę ostrze dzidy złotéj, i błyskawica przeleciała pośród niesfornego tłumu.

Wielki popłoch padł na filozofy, albowiem poczuli ból w oczach. Każdy z nich narzekając, że mu w źrenicy pociemniało, osłonił wzrok dłonią i trwożliwie przed sobą patrzał—i wielkie nastąpiło milczenie.

A dziewica na tronie z cierpliwą łagodnością tak rzekła—

„Strzeżcie się, ażeby wasze swary, kłótnie i sprzeciwianie się światłu, które Bóg w serca wasze włożył, nie przyprawiły was o zupełną ślepotę, która padła na fałszywego proroka, opierającego się mowóm apostoła Pawła wobec rzymskiego prokonsula."

„Godźcie się między sobą, jeśli możecie, i chodź-

cie drogami sprawiedliwości, póki jeszcze odrobinę dobrego światła posiadacie."

„Albowiem noc rychło przyjdzie (mówi Pan), w któréj nikt nic robić nie może *) — ani wy nie możecie, lubo się mianujecie filozofami. Patrzcie— może was ta księga pojedna i uśmierzy wasze pyszne umysły."

I kazała podnieść i otworzyć największą z trzech ksiąg, zawierającą w sobie historję wszystkich prawd i błędów ludzkich od początku świata; potém głos znowu zabrała i rzekła—

„Niech każdy z was zbliży się i czyta w księdze. Może w niéj znajdzie to, co sobie zechce obrać do rozprawy."

Wtedy, za danym przez nią znakiem, koło dziatek, otaczających jéj orszak, otworzyło się. Dzieteczki we dwa rzędy stanęły, zostawując wolne miejsce przed stopniami podstawy skalistéj, na któréj tron był umieszczony.

Jeden z dwónastu mędrców, trzymając w ręku rozwartą księgę, wolnym krokiem zstąpił po stopniach, a stanąwszy na ostatnim, poważnym głosem rzekł do filozofów—

„Przystąp każdy z kolei i czytaj, i wybieraj coć się podoba!"

Piérwszy, który się zbliżył do księgi, wnet wyczytał w niéj jedną małą prawdę, którą sam kiedyś

*) Ew. S. Jana, r. 9, w. 4.

ogłosił, a obok niéj wiele bardzo błędów, które jego sąsiad filozof nauczał, i zawołał z wielkim tryumfem—

„Mój systemat jest najlepszy! Zgadzam się z twoją księgą, niewiasto, a potępiam błędy tego, który za mną idzie!!"

Drugi podobnie znalazł w księdze jedną maluczką prawdę przez siebie opowiadaną, a przytém wiele błędów poprzedzającego tryumfującego filozofa i pohańbił jego zarozumiałość.

Podobnie trzeci, czwarty i piąty.

Tak wszyscy, wiele ich przybyło, z niewypowiedzianą trafnością znajdowali w wielkiéj księdze to, co ich nauce sprzyjało, wychwalali swoje systemata, potępiając z pogardą systemata swoich poprzedników.

I jeszcze większy rozruch wszczął się między niemi, niż piérwéj. Wyrzucali sobie nawzajem zdrady, podejścia, fałsze, obłudy, chciwość i gorszące nauki, a każdy odwoływał się do wielkiéj księgi i do dziewicy na tronie.

Niemieccy filozofowie krzyczeli na drugich, że ani księgi, ani słów niewiasty nie pojęli, na co się Francuzi nad wyraz oburzali— podobnie inni.

Nakoniec od przycinków, obelg i pogróżek słównych, przyszło do walnéj bitwy ręcznéj.

Nawet zwolennicy tegoż samego systematu poczęli jedni na drugich następować. Miotali na sie-

bie z wściekłością foljały grube, rękopisma, narzędzia i apparaty fizyczne, mumje i inne rzadkości.

Wtém któryś z pachołków wpadł na myśl fatalną przywiedzenia na plac słoniów, które ostatniéj klęski stały się przyczyną.

Albowiem skoro piérwsi filozofowie, ocalając swoję powagę, zajęli miejsca swoje na tych potężnych źwierzętach, pawie będące w pogotowiu, postrzegłszy ich czoła obfitemi kroplami znoju zroszone, poczęły, wedle obyczaju swego, przeraźliwie wrzeszczeć.

Na te krzyki przeciągłe, słonie nielitościwie tratowały powaśnione i zmięszane szyki, tak, że nawet małpeczki służące za kornaków nie mogły już powściągnąć ich dzikości.

Na te jęki i wrzaski coraz większe tłumy wojenne w nieładzie przybiegały na plac bitwy.

Dziewica na tronie wtedy mocniéj jeszcze potrząsła złotą dzidą; gęste, straszliwe błyskawice przeleciały z gromem wśród burzącego się tłumu; wszystkie już szyki ogromnego wojska zupełnie się rozbiły, i niewypowiedziany postrach ogarnął wszystkich walczących.

Filozofowie, sawanci, juryści, dziennikarze, piesi i konni, słonie i małpeczki z pawiami, poprzestawszy zajadłéj bitwy, niesforną zgrają puścili się w ucieczkę przed straszliwemi błyskawicami złotéj włóczni w ręku dziewicy.

Wówczas dopiéro król, bacząc że jego lekce-

ważenie stało się przyczyną zupełnego rozbicia wojska, odzyskał całą energję ducha swego.

Wybiegłszy na plac, wspaniałym głosem krzyczał, upominał, wstrzymywał uciekające hufce, gromił, wystawiał sromotę tak brzydkiego odwrótu; powtarzał, że cały ten popłoch był tylko skutkiem kuglarstwa jednéj niewiasty.

Lecz daremnie. Tłumy uciekających, jak fale rozhukanego morza, porywały go coraz daléj z sobą. Kilka razy ledwie nie stał się ofiarą wściekłych od gniewu słoniów.

Wtedy zrospaczony, biegając na wszystkie strony, wołał potężnym głosem, jak niegdyś bohatérski król Ryszard w wiadoméj scenie Schakespeara (*a kingdom for a horse!*) *)— „Królestwo dam za Kameleoparda!! podajcie mnie Kameleoparda! Bylem się na niego podźwignął, zobaczycie jak wszystkie wrogi nasze wniwecz obrócę!!!"

Lecz niestety! omylone zostały jego rycerskie zapały; albowiem sama królowa filantropja, któréj się tak źle powiodło na angielskim koniu, kazała sobie przyprowadzić Kameleoparda, a ochłonąwszy nieco z chwilowego omdlenia, dosiadła nie bez wielkiego trudu to ślachetne źwierzę, i przed rozpoczęciem jeszcze nieszczęsnéj dysputy przez filozofów, bezpiecznie z nieprzyjacielskiego miasta z całym swym orszakiem oddaliła się.

*) Królestwo za konia.

Po niewielu chwilach, z całego wojska czystego rozumu ani jedna stopa ludzka nie pozostała w obszérnéj stolicy. Jeno ułamki narzędzi gabinetów fizycznych i astronomicznych, poszarpane karty niezliczonych foljałów dzienników i poszytów, pokrwawione szczątki czapek, kołpaków, biretów, kapeluszy stosowanych, zawojów i innych szat i ozdób hetmańskich, pokryły stosami plac pobojowiska i pobliższe ulice.

I coraz daléj a daléj posuwały się i słabły zmięszane gwary, jęki, płacze, narzekania i szydercze śmiechy.

Dziewica na tronie, z całém swojém gronem, bez szyderstwa i śmiechu, z poważną, litościwą, niczém niepokonaną cierpliwością, długo w milczeniu czekała, azali się kto z obłąkanych przeciwników nie opamięta i nie uda się pod jéj opiekę.

Z głębokim żalem, osłodzonym pociechą, ujrzała nakoniec małą garstkę młodych stronników niektórych filozofów, która ubocznemi ulicami z niebezpieczeństwem życia wyrwawszy się zpośród wściekłego tłumu, przystąpiła do jéj tronu, błagając z pokorném obliczem o nadanie jéj prawa obywatelstwa w państwie obyczaju chrześcjańskiego.

Dziewica na tronie przyjęła ich z wielką łaskawością, żadnych im wyrzutów nie czyniąc, tylko kazała czémprędzéj przywdziać ich w nowe wspaniałe szaty i umieścić w gronie dziatek, ażeby w oj-

czyznie przez siebie obranéj uczyli się od nich pokory serca i niewinności ducha.

Lecz ani jeden z *mistrzów-filozofów* nie ukazał się przed tronem dziewicy i nie żądał z nią pojednania — tak potężnie ich pochwycił, tak daleko ich zaniósł *uragan bezwzględnéj wiedzy*.

Nakoniec, za danym znakiem przez królewnę, cały jéj orszak takim jak przybył porządkiem począł z części téj miasta oddalać się, udając się wprost do najpiérwszéj świątyni stolicy, wystawionéj na cześć Słowu wiecznemu, co się stało Ciałem.

Wesołe pienia znowu się dały słyszeć. Dzwony wszystkich kościołów i radośne głosy wychodzących na spotkanie dziewicy mieszkańców opiewały jéj tryumf.

Młodzieńce, starce, matrony poważne, dziewice i dziatki rozmaitych stanów barwili jéj drogę najświéższemi kwiaty. Niewypowiedziana radość ogarnęła serca wszystkich — niewinna i próżna wszelkiéj pychy, jak kiedy dziécię raduje się z oglądania matki.

Hymny pod niebiosa się wzbijały, a dziatki, składające orszak dziewicy na tronie, taką pieśń zanóciły —

Wy, w których duszy dzikie wrzaski świata
Nie przytłumiły anielskiego pienia,
Których myśl czysta daleko ulata
Od brzydkiéj żądzy gorzkiego złudzenia,

Daleko od łez i śmiechów zdradliwych,
W Panu szukajcie radości prawdziwych.

Tego słuch ludzki żaden nie przechował,
Ani to w oko śmiertelnego wpadło,
Ni tego serce śmiertelne odgadło,
Co Bóg w swéj chwale wybranym zgotował.

Tylko pokorze
Miłości morze
Widne wśród cieni
Ziemskich przestrzeni.

Z miłości morza
Nadziei zorza
Wschodzi wśród cieni
Ziemskich przestrzeni,

I tylko wierze
Serca przymierze
Z świętą radością,
Z wieczną miłością,
Błyszczy wśród cieni
Ziemskich przestrzeni.

Kiedy wśród tych pieśni orszak stanął w przysionku wspaniałego kościoła, dziewica z tronu zstąpiła, i z całém swém gronem weszła do przybytku Pańskiego na złożenie dziękczynień Bogu Zastępów u stóp ołtarzy świętych.

I odtąd przez lat wiele niczém nie został przerwany pokój w świętém mieście.

XVI.

Król czystego rozumu, pozbawiony tronu, opowiada swoje przygody na dworze starego obyczaju.

XVI.

Król czystego rozumu, pozbawiony tronu, opowiada swoje przygody na dworze starego obyczaju.

W LAT kilka po sławnéj klęsce wojska *czystego rozumu* wśród stolicy obyczaju chrześcjańskiego, ukazał się po ulicach nędzarz.

Cudzoziemki strój jego ubóstwem oszpecony, bladość schorzałego lica, powszechną wzbudzały litość; rysy twarzy jego dość kształtne, w oczach niewygasła jeszcze zupełnie śmiałość, jakaś chęć do rozkazywania, skutek dawnego nałogu, okazywały widocznie, że on lepsze znał czasy i przez ciężkie przeszedł przygody.

Milczący i u nikogo nie szukając wsparcia, udał się wprost do pałacu królewskiego. Tam go nie

chciano zrazu wpuścić, nie tak z przyczyny nieprzyzwoitego ubioru, jak z powodu zuchwałéj cokolwiek mowy; lecz skoro w Imie Jezusa począł błagać o posłuchanie u króla, natychmiast umieszczono go w spisie ubogich, i w pewnéj godzinie zaprowadzono go do gabinetu królewskiego.

Albowiem postanowione były pewne dni i godziny na dworze obyczaju chrześcjańskiego, w których król sam na sam z każdym nędzarzem rozmawiał i prośby jego słuchał.

Owoż skoro ten przybysza stanął przed obliczem królewskiém, rzucił się królowi do nóg i rzekł ze łzami—

„Nie poznajesz mnie, Najjaśniejszy Panie! Jam jest twój dawny dworzanin, niegdyś *zwyczaj chrześcjański*, co przez płochość porzuciwszy twoję słodką służbę, a potém dziwaczną koleją losu zostawszy obranym królem narodu *czystego rozumu*, po ostatniéj w twéj stolicy klęsce, w taką, jak widzisz, pogrążyłem się niedolę."

„Zlituj się, Panie, nade mną, i acz niegodnego, przyjm mnie między twe sługi!— bo lepiéj być kmieciem w twojém błogosławioném królestwie, jak gdzieindziéj panować!"

Król wielce się zdumiał; głęboką tknięty litością, z największą łaskawością podniósł z ziemi tego, którego oddawna między stracone policzył, i nie tylko powtórnie przyjął go do swéj łaski, lecz

natychmiast kazał bogatą szatą okryć jego nędzę i na wspaniałą ucztę wezwał.

A kiedy wśród licznie zgromadzonych magnatów zasiadł do bankietu, po prawéj ręce przy nim zajęła miejsce córa jego pierworodna, drugie po lewéj obok siebie przeznaczył dworzaninowi nawróconemu.

I wielka radość ogarnęła cały dwór królewski, jak w *paraboli* ewangelicznéj, w domu ojca weselącego się z powrotu syna marnotrawnego.

Po ukończonéj biesiedzie król w te się ozwał słowa —

„Synu! dla naszéj pociechy i na większą chwałę Boską, opowiedz nam przygody twoje."

Dworzanin westchnął głęboko, zalał się łzami i tak począł mówić—

—*Infandum, o rex, jubes renovare dolorem!* *)— ale spełnię z najżywszą chęcią rozkazy twoje, ażeby wszyscy z mojego wielkiego obłąkania i późnego opamiętania się biorąc przykład, dobrze zrozumieli, iż żaden występny nie ma rospaczać, lecz dobrze trzymać o miłosierdziu Boskiém.

Wiadomo ci, królu, jak wspaniałomyślna królewna swoją niezrównaną mądrością całe wojsko czystego rozumu w owym pamiętnym dniu do ucieczki przywiodła.

---

*) Niewymówną, o królu, każesz wznowić żałość! (*Z Encidy*).

Próżno wszystkich natężałem sił, ażeby jakikolwiek porządek między złamane szyki przywrócić, a przynajmniéj uśmierzyć zajadłość, z jaką jedni na drugich nacierali.

Dopiéro kiedy już foljałów zabrakło do zaciętéj walki, i wszystkie swoje narzędzia i zbiory naukowe na głowach jedni drugim potrzaskali, głodem i forsownym marszem wycięczeni, poczęli stygnąć w gniewie i rozmyślać o rychłym powrócie do stolicy sofji.

Widząc próżne moje usiłowania, dosiadłszy nędzną szkapę, bo mego Kamelcoparda nigdzie już odzyskać nie mogłem, *incognito* z małym orszakiem wiernych, z wielkim trudem dostałem się do mego pałacu.

Znużony, z bolesném, zakrwawioném sercem, udałem się na spoczynek.

Okropne sny miotały mną przez noc całą, z których mnie wyrwał nagle niepospolity zgiełk, szerzący się wkoło królewskiego mego pałacu, który co chwilę stawał się groźniejszym. Szybko zarzuciwszy na siebie lekką odzież, wybiegłem na ganek i ujrzałem z zgrozą i przerażeniem fale niezliczonego ludu, otaczające żonę moję, filantropję, siedzącą z wielką dumą na moim nieszczęśliwym Kamelcopardzie.

Jaśniała w bogatych szatach, jak słońce jakie, a filozofowie, gazeciarze i juryści, wśród tłumu krzy-

czeli— „Zdrajca król opuścił wojsko! Jemu-to przypisać należy haniebną przegranę naszę."

„Trzeba go zrzucić z tronu— i innego obrać."

A wrzaski tak były silne, wszyscy tak zajęci pięknością mojéj małżonki filantropji, że nie zważali na mnie, i szczęściem dla mnie nie postrzegli mnie, bo niezawodnie dzień ten byłby krwawą tragedją zakończył się.

Wtém ukazał się pośród gminu na słoniu białym filozof francuzki, ten sam, który w dzień pamiętnéj dysputy w téj stolicy, z wielką dworszczyzną wszczął rozmowę z królewną na tronie siedzącą. Wszyscy się na jego widok cieszyli, a Francuz donośnym głosem tak przemówił do ludu—

„Narodzie! w mojéj wprawdzie rodzinnéj ziemi z mocy *Salickiéj ustawy* płeć nadobna odsunięta jest od tronu; ale co może być przyzwoitém i potrzebném w krajach bardziéj namiętnych jak filozoficznych, to takiém nie jest w kraju i narodzie nieśmiertelnéj sofji— tam, gdzie wszem rzeczóm czysty tylko rozum nadaje rzetelną wartość; dla czegoż by on nie miał być udziałem płci z wdzięków słynącéj, w sporéj nawet mierze, zwłaszcza od téj pomyślnéj chwili, w któréj dokończona *emancypacja* niewiasty stała się jakoby hasłem wszystkich nowych genjalnych płodów, które tegoczesną literaturę naszę zbogaciły?"

„Mamy przed oczyma niezaprzeczony dowód,

że płeć ta czuła i piękna z prawem do rozumu nabyła prawo do panowania nad sercami naszemi, nie tylko przez miłość, ale nawet przez głęboką politykę. Oto widzicie przed sobą Boską filantropję na wspaniałym Kameleopardzie. Nie będę mówił o jéj przedziwnéj urodzie, bo ta, jak słońce, w oczach wszystkich jaśnieje." (Tu głowę schylił nizko przed moją żoną, która, jak dobrze Waszéj Królewskiéj Mości wiadomo, była tylko panną z fraucymeru królewnéj, a potém przeze mnie namówiona do ucieczki, nierozważnie weszła ze mną w śluby małżeńskie).

„A o wielkim jéj rozumie— rzekł daléj filozof— mamże daléj się rozwodzić? Nie krzywdziłbymże przez to wasze własne wysokie pojęcie o rzeczach? Któż piérwszy natarł na tę dumną dziewicę na tronie siedzącą, sprawczynię naszéj srogiéj klęski? Pani ta prześliczna; a kiedy koń jéj niesforny nie dozwolił jéj ust swoich anielskich otworzyć, a potém całe wojsko w popłochu się mięszało, kto piérwszy wpadł na genjalny pomysł ratowania siebie i walecznego ludu, ochraniając cudownego Kameleoparda, owe *palladium* nasze, bez którego ani narod, ani żaden król jego w ciężkich przygodach na wielkie przedsięwzięcia zdobyć się nie potrafi? Pani ta równie przezorna, jak waleczna."

„Ona-to, kiedy król nędzny zupełnie postradał moc ducha i przytomność, wpadła na wielki pomysł,

kazała wyprowadzić Kameleoparda, z niesłychaną odwagą dosiadła go, i byłaby nieomylnie ocaliła wojsko i zmusiła do odwrotu dumną dziewicę na tronie, gdyby wszystkie hufce nie zostały rozproszone, wprzód jeszcze, nim ona zdołała na ślachetnéj Żyraffie przynieść im ratunek."

„Patrzcie! oto dotąd z niezwalczoną stałością nie opuściła wysokiego swego stanowiska. Cały dzień i całą noc jedną na Kameleopardzie strawiła, i teraz pośród ludu swego na nim się ukazuje— w dowód, że nic ją z tego placu chwały i majestatu wydalić nie zdoła, prócz śmierci. Przybyła do ukochanego przez siebie narodu, dla wybawienia go od grożącéj przyszłości mądremi swemi rady i rządy."

„Mojém więc jest zdaniem, ponieważ cała przewaga nieprzyjaciela naszego zasadzała się na przezorności owéj dumnéj niewiasty, która mu przewodniczyła, ażebyśmy sobie na zawsze zabezpieczyli zwycięztwo, obierając sobie za królowę daleko piękniejszą, mądrzejszą i waleczniejszą od téj dziewicy, filantropję, siedzącą nie na martwym tronie z błyskotków, lecz na żyjącym cudownym Kameleopardzie. Nędzarz ów, który był dotąd królem i przez winę swoję utracił tę godność, jeśli się gdzie dotąd w podłém ukryciu znajduje, łacno się da nakłonić do abdykacji: bo to wszystkim wiadomo, że on, pozbawiony Kameleoparda, nie może mieć rozumu do rządów."

„Niech więc żyje królowa nasza filantropja i szczęśliwie nam panuje na wspaniałym Kameleopardzie!!"

A cały lud, zachwycony wymową filozofa, zawołał jakby jeden człowiek—

„*Vivat regina Filantropia in aeternum cum Cameleopardo!*"

Żona moja pieszczonym głosem odpowiedziała—

„Że poddaje się woli całego narodu i przyjmuje godność królewską."

„Że chce uszczęśliwić narod."

Potém na dwie części podzieliła swoję mowę.

W piérwszéj mądremi bardzo wywody okazała na czém się zasadza prawdziwa pomyślność narodów.

W drugiéj objawiła środki, któremi ona tę pomyślność do skutku chce przyprowadzić.

Zrazu wielkie moje było zadumienie. Pomyślałem sobie: zkąd ten rozum téj kobiécie? bo nikt lepiéj ode mnie nie wiedział, jak w pospolitém życiu była niedorzeczną; lecz przypomniawszy sobie, że ona przemawia siedząc na Żyraffie, przestałem się dziwować jéj rozumowi.

Potém z wielkim tryumfem filozofowie wprowadzili królowę nową do pałacu; ja zaś, lękając się o moje życie, schroniłem się w kryjówce pewnéj gmachu królewskiego mnie tylko świadomej. Cały ten dzień i następującą noc nie wychodziłem z mojego ukry-

cia. Nakoniec, przyciśniony głodem, lekce-ważąc wszelkie niebezpieczeństwo, udałem się wiadomymi mnie krętymi wschodami wprost do *bufetu* przydwornego.

Tam mnie gawiedź dworska wkrótce poznawszy, krzyknęła—

„Zdrada! — to król odprawiony!"

I z wielkim hałasem zaprowadzili mnie do ministra filozofa Francuza, który pod panowaniem królowéj u steru rządu siedział.

Skoro mnie postrzegł, z wielkim gniewem się zapytał—„Jakem się odważył ukrywać w pałacu królewskim? a potém, jak śmiałem pójść do bufetu, nie będąc już królem?"

Odpowiedziałem z powagą ślachetną, że głód na wszystko ośmiela.

Na te słowa minister ozwał się ironicznie—„Głodnyś? to dobrze— tego nam trzeba było. Wiedz, że nie otrzymasz nawet okruszyny chleba, i straszliwą śmiercią *Ugolina* będziesz musiał życie zakończyć, jeśli natychmiast tego papieru nie podpiszesz."

To wyrzekłszy, z wielką energją podał ułożoną już i na czysto przepisaną abdykację tronu na rzecz nowo-obranéj królowéj.

Przeczytałem go drżącym głosem, bo tam były nader ciężkie dwa artykuły.— Zostawiano mnie przy życiu pod dwóma warunkami:

1. Żebym nigdy na tém miejscu się nie ukazał,

w którém mógłbym być widzianym przez królowę.

2. Żebym przyjął służbę *sekretarza* u drugiego ministra filozofa Niemca.

Pogwałcenie onych miałem życiem przypłacić.

Mniéj dbałem o piérwszy warunek, luboć wprawdzie gorzkiém mi się zdało nie módz choć raz wyrzucić żonie w oczy jéj niesłychaną niewdzięczność.

Ale drugi był nader fatalny. Wiedziałem bowiem dobrze, co on mnie zapowiada — szkaradną kuchnię filozofa Niemca, obfitującą w ckliwe *wasserzupki*, *melspejze*, *sznitzle* i tym podobne specjały szwabskie — bo pomyślałem sobie: kiedy ów zdrajca mnie, jako króla swego, niczém lepszém na swoich bankietach nie ugaszczał, czegoż tedy mogę się od niego spodziewać, zostając u niego w charakterze sekretarza!!

Próżne były moje prośby i odwoływania się do prawa narodów. Zagorzały minister Francuz zawsze mnie jednym tym argumentem zbijał—„Jesteś pozbawiony tronu i Kameleoparda; *c'est un fait accompli, mon ami!* *) Daremne więc są twoje piękne rozumowania. *On ne gouverne pas avec de beaux raisonements, mais avec des faits, mon cher!* **)"

„Poddaj się więc *en homme d'esprit à l'adversité du sort.* ***)"

---

*) Jest to *fakt* dopełniony, mój przyjacielu!

**) Nie można rządzić ludźmi, pięknemi rozumowaniami, ale czynami, mój drogi!

3) Zgodź się więc, jako człowiek rozumny, z przeciwnością losu.

To mówiąc, dość grzecznie zaprosił mnie na śniadanie *à la fourchette*, a potém kazał mnie przywdziać mundur kancelisty, i odesłał mnie krytym powozem do filozofa Niemca.

Ten podówczas zajmował ważną posadę ministra oświecenia.

Przybywszy do jego sali audjencjonalnéj, musiałem z dobrą godzinę czekać, aby mnie zawołano do gabinetu ministra. Zastałem go przy kantorku piszącego. Zdawał się nawet nie słyszeć czy kto wszedł. Po kilka chwilach, obróciwszy się od niechcenia, poprawując sobie myckę na głowie, rzekł z wielką flegmą—

„*Ja! so der quondam König!!*(*)"

„A ostrzegałem nie raz i drugi: szanuj Kameleoparda, *das edle Thier* (**), nie dawaj nad sobą réj wodzić żonie, oddal od jéj boku tego *pseudo-Apollina* z dziewięcią muzami i niedorzecznemi ich poetami.—Nie słuchałeś rad moich, a teraz nieboraku musisz gorzki zbierać owoc twoich błędów. Ale ja nie chcę ci próżnych robić wyrzutów: bo ja—filozof. Bierz ze mnie przykład i naśladuj moję zimną krew we wszystkich przygodach."

Potem uśmiéchając się dodał—

„*No, mein Kind!*(***)(Łotr—pomyślałem sobie—

(*) Tak! to *byłwszy* król!

(**) To szlachetne zwierzę!

(***) No! moje dziécię!

dawniéj mnie, króla swego, mieścił między bogi, a teraz policzył mnie między swoje niemowlęta!) — masz być moim sekretarzem; będziesz miał na dzień 25 *Kreutzer gutes Geld* *), prócz tego moja stara garderoba będzie twoją puścizną, a z mamką moich dzieci podzielisz *Kost* przyzwoitą, to jest: będziesz się stołował. No, spodziewam się, że to niezłe utrzymanie na króla odprawionego— wieleż to ich i tyle nie miało? A jeśli będziesz pilnym w swoim obowiązku, pomyślimy o lepszéj posadzie dla ciebie. *Nur hübsch arbeiten, mein Kind!— Paulatim summa petuntur.* **)"

To wyrzekłszy z pewną ironiczną serdecznością, dał mnie do przepisywania rękopism. Było to tłómaczenie na język niemiecki *Telemaka* z licznemi przypiskami filozoficznemi w przedmiotach politycznych.

Tu się zaczyna nieprzerwany, długi szereg dni, zatrutych jednostajnością najwyższéj niedoli. Opisanie tych szczegółów byłoby dla opowiadacza i słuchaczów zarówno nieznośném.

Dość powiedzieć, iż u tego obrzydłego pedanta Niemca więcéj było pisania, jak pożywienia, więcéj słów, napomnień, jak zasług i środków do nędznego utrzymania się, tak dalece, iż do ostatniego

*) Dobrą monetą.

**) Tylko pięknie pracować, moje dziecię! Zwolna do najwyższych rzeczy dójść można.

wycieńczenia doszły siły moje fizyczne i moralne.— Nie wiém jaki mnie los czekał, bom już był zaczął desperackie myśli do głowy przypuszczać, kiedy niespodzianie nowa rewolucja w państwie czystego rozumu wybuchnęła.

Filozofowie po wyniesieniu na tron filantropji, złożyli walną radę między sobą. Francuz, jako prezydujący minister, w te słowa zagaił sessję—

„Szanowni kolledzy! Jeśli panowanie królowéj naszéj ma odpowiedzieć świetnością oczekiwaniu wszystkich rozumem potężnych narodów, to trzeba koniecznie, żebyśmy, filozofowie, wyłącznie wodze rządu w ręku trzymali."

„Królowa nasza jest ze wszech miar zacna pani; ale wiécie, że płeć nadobna jest drażliwa, skłonna do zmienności w zdaniu, przytém nie można po niéj wymagać niezłomnéj wytrwałości i nadzwyczajnych zdolności w trudnym kunszcie kierowania sterem rzeczypospolitéj: bo niepodobna, ażeby królowa założyła swe pomieszkanie na Kameleopardzie. Przytém pałac ten jéj terazniejszy zbyt ma wiele bram i wychodów. Trudno się zabezpieczyć od natrętnych intrygantów, trudno nawet przeszkodzić w takiém położeniu rzeczy, ażeby sam król detronizowany pokryjomu nie był kiedy przypuszczony do audjencji królowéj, przez co wszystko nasze zdrowe rady dla kraju zniweczoneby były."

„Mojém więc jest zdaniem, szacowni kolledzy,

żeby spisać konstytucję i podać ją do stwierdzenia i zaprzysiężenia Najjaśniejszéj Pani. Następujące zaś ważniejsze artykuły powinny być umieszczone w téj ustawie, zabezpieczającéj przyszłe losy kraju:"

Artyk. 1. „Królowa przed wszystkiém powinna utwierdzić nas sześciu filozofów tu zebranych na dożywotnich ministrów. Urzęda te przechodzić mają spadkiem na nasze syny, wnuki, krewne i powinowate, *usque ad quartum gradum consanguinitatis inclusive**), wszakże nie po kądzieli, ale po mieczu."

Artyk. 2. „Ma być wybudowany dla królowéj większy i wspanialszy pałac od tego gmachu, który jéj teraz służy za pomieszkanie, z przepysznemi ogrody, mocnemi warowniami otoczony. W pałacu tym, (i to jest najważniejsza), nie ma być więcéj wychodów nad troje, misternemi odmiennemi zamkami opatrzonych, od których my sami tylko, ministrowie, klucze piastować powinniśmy."

„A ponieważ między nami troje jest także nieco różniących się stronnictw, dla uniknienia więc zawiści i niezgody, tyle przynoszących uszczerbku dobru pospolitemu, jednéj partji minister nie będzie mógł wchodzić przez drzwi sobie przeznaczone, tylko w towarzystwie kollegi przeciwnéj partji; żadne

*) Aż do czwartego stopnia pokrewieństwa, nie wyłączając onego.

zaś ważniejsze prawo nie ma być ogłoszone, tylko za zgodą wszystkich trojga stronnictw ministerjalnych."

Artyk. 3. „Obok apartamentów królewskich, powinien być piękny ogródek urządzony, a w nim przyzwoite schronienie dla cudownéj Żyraffy, któréj ma być przydana straż z najwierniejszych dobranych dworzan przysięgłych. Ich pielęgnowaniu powierzone będzie to ślachetne zwierzę. Pod karą śmierci wzbroniony ma być obcemu przystęp do Żyraffy; wiécie bowiem dobrze, szanowni kolledzy, iż w czyjeby ręce to ślachetne zwierzę wpadło, ten łacno mógłby w zaburzenie kraj wprawić i dostojność królewską pochwycić."

Artyk. 4. „Królowa nie powinna ukazywać się przed ludem, tylko w towarzystwie przynajmniéj dwóch filozofów, wziętych z dwóch stronnictw ministerjalnych, ani używać przejażdżki na Kameleopardzie, tylko za ich przyzwoleniem. Dla przechadzki codziennéj przeznaczone będą ogrody obszérne. Dwór jéj niewieści składać będą wyłącznie zacne małżonki, córy i najwierniejsze przyjaciółki ministrów, należące do każdego z trzech stronnictw."

Artyk. 5. „Królowa powinna zmienić dawne swoje imie nieco sponiewierane: *Filantropja*, na daleko wspanialsze: *Oświata*, i tak podpisywać wszystkie swoje wyroki:"

„*Z łaski Filozofji Oświata*, 1sza *królowa narodu*

czystego rozumu, roku wybawienia od przesądów— (takiego)."

Podobał się wszystkim zgromadzonym ministrom projekt prezydenta i jednomyślnie przyjętym został.

Ułożywszy więc ustawę konstytucyjną, ponieśli ją do królowéj do podpisu i zaprzysiężenia.

Filantropja, panująca odtąd pod nazwą *Oświaty* 1széj, łacno na wszystko przystała w piérwszych miodowych chwilach (Anglicy zowią je *hony-moons*) swego nowego panowania.

Ministrowie też z swojéj strony wszystkich dokładali starań, ażeby Najjaśniejszą Panią ciągle w tym błogim humorze utrzymywać. Nie ustawały fety pyszne, bale dworskie i inne podobne świetne zabawy.

W przeciągu jednego roku powstał nowy pałac dla królowéj z przecudnemi ogrodami, urządzonemi dokładnie wedle opisu konstytucji. Gmach ten przedziwnéj włoskiéj architektury, daleko wspanialszy od poprzedniczego, cały był zewnątrz ozdobiony rzeźbami misternie wyzłoconemi. Ogrody otoczone, były niby dla ozdoby, z wielkim kunsztem i smakiem wykonaną fortyfikacją.

Skoro królowa piérwszy raz ujrzała tę wspaniałą budowę, całą lśniącą od złota, wielką na ten widok okazała radość, a ministry z uniżonością mówili—

„Azaliż Wasza Królewska Mość, jako panująca nam szczęśliwie oświata, możesz mieć dość świetny przybytek? Jeśli tron tylko téj dumnéj niewiasty, co się przezwała opinją świata chrześcjańskiego, jaśniał złotem, tém bardziéj pałac W. K. Mości powinien być cały ozdobiony tym drogim kruszcem, ażeby blask jego, co jest tylko słabym obrazem wysokiéj jéj mądrości, rozsiewając promienie na cały twój naród uszczęśliwiony, w zachwycenie go wprawiał."

Lecz krótko trwała radość królowéj—postrzegła rychło, że ją filozofowie łudzili.

Albowiem pałac był wprawdzie zewnątrz wyzłocony, ale wewnątrz dość pusty i niewygodny; wszystko było naprędce za podrad uklecone, wszystko się psuło, a w najpiérwszych wygodach był niedostatek.

Zasmuciło i to niepomału królowę, kiedy się przekonała, iż nie mogła mieć innego towarzystwa, prócz tego, które jéj filozofowie dobierali, ani ukazywać się przed ludem, tylko w assystencji filozofów. Nie pozwalali jéj także używać ulubionéj przejażdżki na Żyraffie, pod zmyślonym powodem, że to ślachetne żwierzę w obcym sobie klimacie powinno być oszczędzane troskliwie. Prawdziwą zaś przyczyną tego oporu było postrzeżenie, że ilekroć królowa dosiadła Żyraffę, z wielką energją i mądrością przeciwiała się radóm filozofów ministrów.

Poczęła więc z tłumionego w sercu umartwienia tracić cerę i urodę.

Przytém filozofowie zauważywszy, że ilekroć oświata ukazywała się przed ludem, smutek jéj się powiększał, a narod coraz mocniéj się litował nad nią i szemrał na filozofów, postanowili, ażeby królowa jak najmniéj z pałacu swego oddalała się i używała przejażdżki po ogrodach pałacowych, pókiby pięknéj cery i wesołości nie odzyskała.

I takowe zdanie swoje oparli na *consilium* całego fakultetu medycznego.

XVII.

Dalszy ciąg powieści króla wygnańca.

XVII.

Dalszy ciąg powieści króla wygnańca.

Ostatni niebaczny krok ministrów przyśpieszył wybuch tlejącego się buntu.

Albowiem wszyscy gazeciarze, juryści, którzy piękną niewiastę za królowę na tron podnieśli, i zezwolili, aby pod nazwą *oświaty* rządy kraju trzymała, dla tego najbardziéj, żeby mogli często jéj widokiem się cieszyć, i zawsze cóś nowego i ciekawego o jéj wdziękach objawiać publiczności, i bystrymi swemi pomysłami ożywiać swoje ulotne pisma, widząc się srodze zawiedzionemi, poczęli, łącznie z fakcją uczonych i sawantów podróżników, nieprzyjazną ministróm, w *kluby* się zbierać.

Tam jednego dnia, jeden z najśmielszych i

najwymówniejszych jurystów, wśród rozjątrzonych nowemi wypadkami umysłów, temi się ozwał słowy—

„Filozofowie, pochwyciwszy ster rządu, zgubili narod: bo oni dla swoich tylko celów obrali królowę i nazwali ją oświatą; ale ta mniemana oświata niczém inném nie jest, tylko lalką żyjącą w ich ręku, za pomocą któréj oni własny swój rozum, własne pomysły i rozkazy samowolnie ludowi narzucają."

„Jeśli tego daléj dopuścimy, niegodniśmy szczycić się nazwą narodu czystego rozumu. Dość tego haniebnego despotyzmu — trzeba żeby wielki narod taką królowę obrał sobie, któraby była prawdziwą popularną oświatą, przedstawicielką wierną wszystkich naszych obywatelskich, mieszczańskich i kmiecich rozumów i serc, a nie wyłączną oświatą bakałarzy takich, jakiemi są terazniejsi ministrowie. Kto więc kocha ojczyznę czystego rozumu, ten niech za mną idzie!"

I porwawszy zapaloną pochodnię (bo noc była) rozogniony patriotyzmem jurysta krzyknął—

„Na zamek!"

A cała tłuszcza rokoszan z pochodniami w ręku, z straszliwemi wrzaski: „na zamek! na zamek!" poleciała przez ulicę za przewodzącym jurystą.

Już nieprzeliczone tłumy, jak rozhukane wały morskie, ze wszech stron zamek królewski opasały.

Nie było podobieństwa, aby straż pałacowa na

jakikolwiek odważyła się odpor. Dzikie wrzaski pod nieba się wznosiły— „Precz z oświatą filozofów! Zdrajcy filozofowie! Precz z ich królową! Chcemy inną sobie obrać! A jeśli nam który z nich przeciwić się ośmieli, pałac z oświatą i całym filozofskim kramem na węgiel spalimy!"

W zamku niewypowiedziana panowała trwoga i zamięszanie. Królowa mdlała ciągle, wołając z płaczem— „Mężu mój! mój mężu! czemużem ciebie opuściła? Widzę teraz, że to nieszczęście jest karą méj niewdzięczności!" Dworzanie latali jak nieprzytomni na wszystkie strony, tylko kilku filozofów, znajdujących się podówczas przy boku królowéj, nie traciło odwagi.

Ufali bowiem, że swoją wymową zwalczą gmin ciemny.

Niemiec minister, u którego musiałem spełniać obowiązek sekretarza, który mnie potém wszystkich tych szczegółów udzielił, pocieszywszy trochę królowę, rzekł do ministra Francuza—

„*Excellenz!* trzeba nam wyjść na ganek pałacowy i ukazać się ludowi. Ty masz swadę piękną— przemów do ludu, a ja będę za tobą stał, wesprę dobrą radą i będę poddawał myśli stosownie do okoliczności."

Francuz z ironją odpowiedział—

„To się znaczy, szanowny kollego, jeśli się nie mylę, że ci słabo około serca. Mniejsza o to—kryj

się za mojemi plecami, ale ja Waszej Excellencji rozumu nie potrzebuję." — „Nie unoś się próżnością — ozwał się z flegmą Niemiec. — Idźmy, kollego! Zobaczysz czy ja się tego głupiego gminu lękam."

Ukazali się tedy oba na ganku pałacowym, lecz Francuz z zwykłą sobie walecznością przebiegł Niemca i na przedzie stanął, a blask od tysiąca pochodni był tak wielki na dziedzińcu królewskim, iż najmniejsze poruszenia twarzy obecnych ukryć się nie mogły.

Zaledwie jurysta, co przewodniczył rokoszanóm, ujrzał prezydenta ministrów, jeszcze przeraźliwsze wrzaski podniosły się, i poczęli potrząsać pochodniami, jakby je chcieli ciskać na gmach królewski, wołając nieustannie—

„Oto zdrajcy ministrowie! Precz z niemi! precz z ich królową oświatą!"

Francuz próżno wysilał swe płuca—wrzaski straszliwe pokrywały głos jego. Wtém minister filozof Niemiec dobył zatabaczonéj chustki i począł nią powiewać jak parlamentarz pragnący w układy wchodzić. Trafem szczypta tabaki hiszpanki owionęła jurystę, który nagle zamilkł i mocno kichnął.

A gmin, z natury swéj płochy i łacno z jednéj do drugiéj ostateczności przechodzący, zaśmiał się i krzyknął: „Na zdrowie!"

Drobna ta okoliczność zmieniła postać rzeczy

pomyślnie dla filozofów. Drażliwość tłumu nieco zmniejszyła się, a kilka głosów odezwało się—

„Posłuchajmy też co te bakałarze pocieszne chcą nam prawić? Zawsze potém możemy ich z tym pałacem na popioł spalić."

Przez ten czas ministrowie krótko się naradzili, a potém tak się ozwał Francuz słodkim, donośnym głosem—

„Bracia najmilsi! zacni obywatele! my wszyscy jesteśmy dziećmi jednéj matki, pokolenie ślachetne czystego rozumu."

„Nie chcecie mieć oświaty za królowę i panią? nie będziecie jéj mieli. Chcecie sobie inną obrać? prosimy—obierajcie; a na probę pokażemy wam jedną przecudną dziewicę, która może wasze głosy pozyszcze. A nie podoba się ta, druga się znajdzie."

„I pałac jéj równy temu albo świetniejszy wybudujemy. Niéma więc potrzeby, przezacni obywatele, palić ten gmach, przed którym zebraliście się: bo-by od pożaru tego całe miasto i wasze domy spłonąć mogły."

Na to ozwał się zgniewem jurysta—„Nie chcemy z waszéj ręki królowéj. My sami ją sobie znajdziemy!"

Ale z tłumu ozwały się głosy weselsze—

„Niech się ukaże choć dla ciekawości to cudo, które ci bakałarze na kandydatkę do korony podają."

I zagłuszyli jurystę. Ministrowie rzekli —

„Niebawiąc ją wam przedstawimy." I w mgnieniu oka oddalili się od wewnętrznych komnat pałacowych.

Filozofowie, wpadłszy z pośpiechem do pokoju, w którym ich królowa z bolesną niespokojnością oczekiwała, zawołali radośnie—

„Wygrana nasza! Nie trać, królowo, serca, tylko rozkaż W. K. M. córce owego jurysty przewodnika buntu, która się w Jéj fraucymerze znajduje, ażeby jak najprędzéj najświetniejsze królewskie szaty przywdziała."

Przywołano pannę nie piérwszéj młodości, bez żadnéj urody, lecz bardzo podobną do ojca; i równie prawie była krzykliwa i do swaru skłonna.

Drżącą z przestrachu, i z płaczem opierającą się śpiesznie przystrojono w pyszny paludament królowéj i głowę koroną ozdobiono. Potém oba ministrowie wywiedli ją z wielką powagą na ganek pałacowy i ukazali całemu ludowi.

Zaledwie ją ujrzał jurysta, herszt rokoszu, z radośném zdumieniem zawołał—

„Teraz dopiéro, filozofowie, największy daliście dowod rozumu waszego!"

„Tę mądrą, urodziwą dziewicę pragnął oddawna naród posadzić na tronie: bo ja wiém, że ona też same ma myśli i chęci ślachetne, jak my wszyscy; godną jest więc być najwyższą przedstawicielką

wszystkich ślachetnych uczuć narodowych. Nie prawdaż? bracia!"—rzekł jurysta, obracając się do ludu.— „Prawda! prawda!"— odezwało się wielu, a niektórzy dodali—

„To twoja córka, miłośniku wielki ojczyzny! a luboć wyznać należy, iż nic w niéj niéma szczególnego, dość jéj na téj zalecie, że jest twoją córką!"

Potém cały tłum jednym wrzasnął głosem—„*Vivat regina in aeternum*!"

Jurysta znowu głos zabrał, i rzekł do ministrów—„Widzicie, że lud jest wspaniały, skromnie używa swych swobod; umié się poznać na rozumnéj wólności; a ponieważ obrał godną siebie królowę, dozwala wam, ażebyście się ostali przy waszéj dawnéj królowéj oświacie, pod tym jednak warunkiem, żeby ona tylko nad waszym wyłącznie rodem filozofskim patrjarchalną władzę posiadała, nie mięszając się bynajmniéj do rządów krajowych, które odtąd nowéj waszéj królowéj są powierzone."

Na te słowa filozofowie w milczeniu się skłonili i z uszanowaniem rączkę nowéj królowéj całowali.

Wtém jakiś młody elegant tak się pośród tłumu odezwał—

„A wiécie co?—to niezła moda obierania panujących!"

I wnet z całego gminu jeden wesoły głos powstał—

„*Moda! moda!* Niech żyje królowa nasza moda! Nie chcemy nigdy innéj królowéj, jak *modę*!!!"

Potém oświadczyli ministrowie, że z powodu późnéj doby, nowo-obrana królowa w dawnym tym pałacu przez noc pozostanie, lecz nazajutrz z wielką uroczystością przeprowadzoną będzie do nowéj wspaniałéj villi ministra prezydenta, którą jéj Francuz z wielką uniżonością ofiarował na pomieszkanie, póki nowy wspaniały gmach nie zostanie dla niéj pobudowany.

Jurysta przystał na wszystko i rozpuścił lud w porządku, który przechodząc przez ulice, ciągle wołał radośnie—

„*Vivat moda in aeternum!*"

Tejże saméj nocy jeszcze, ministrowie złożyli nadzwyczajną radę, w całym komplecie; okoliczności bowiem były bardzo trudne.

Królowa oświata w ciężką niemoc wpadła i już zamyślała o abdykacji, ale filozofowie nie zezwalali na to. Niebardzo także chętnie chcieli spełnić obietnice uczynione ludowi i nowo-ogłoszoną królowę modę uroczyście przeprowadzać do villi.

Były głosy radzące gwałtowne krwawe środki— zdania się różniły wielce— do niczego stanowczego nie przychodziło. Nakoniec prezydent minister zabrał głos i rzekł—

„Nie są tak straszne przygody, jak się wam to

zdawać może, szanowni kolledzy! — owszem widzę w tym wypadku nowy środek ustalenia władzy naszéj."

„Nad płochym, nieroztropnym gminem nikt właściwiéj panować nie może, jak ta panienka, którą nazwali modą; a wiécie dla czego?—bo ona jest do jednego z przewodników rozhukanego gminu podobną... jest jego godną córką. Lecz ponieważ ta jéj wziętość trwać długo nie może, należy wcześnie postarać się o pewną ilość podobnych niewiast, z których się powinien składać fraucymer naszéj królowéj oświaty, tak, żeby co kwartał przynajmniéj mieć w pogotowiu dla gminu kandydatkę do korony, myślącą, gadającą, strojącą się i postępującą wedle obyczaju któregokolwiek z tych pospolitych ludzi."

„Bądźcie pewni, że każda następnie obraną i przyjętą zostanie za królowę, każda przez swój czas będzie najsamowolniéj panować, dla bardzo prostéj przyczyny: albowiem każdy pojedynczo jest przekonanym, że obranéj królowéj krótkie panowanie z powodu zmienności głupiego motłochu, że kiedyś musi przyjść koléj na jego własne fantazje, szaleństwa i dziwactwa, które przez odpowiednią przyszłą jakąś władczynię reprezentowane być muszą."

„Ślepo więc będzie posłusznym panującemu głupstwu drugich, dla tego samego, żeby własnemu przyszłemu głupstwu posłuszeństwo zabezpieczył."

„Nie wystąpią nigdy z tego błędnego koła."

„I tak będą zajęci i uszczęśliwieni płochemi swemi fraszkami, iż nie zwrócą uwagi na czynności nasze i królowéj naszéj oświaty."

„A my, za pośrednictwem jéj fraucymeru stosownie dobranego, silniéj jeszcze będziemy władać gminem tym, chwilowie rozchełznanym, niżeli piérwéj, kiedyśmy niewdzięcznych chcieli oświecać i do szczęścia prowadzić."

Słowa te prezydenta ministra wszystkich jego kollegów w zachwycenie wprawiły. Z rozrzewnieniem każdy z nich wynurzał mu wdzięczność za ocalenie rzeczypospolitéj. Filozof Niemiec dodał tylko tę uwagę—

„Przed wszystkiém— rzekł on— trzeba, ażebyśmy postanowili prędzéj życie utracić, niżeli dozwolić na wydanie z rąk naszych Jelenio-parda królewskiego, to palladjum pomyślności naszéj."

„Ważna twoja uwaga, szanowny filozofie!"— odpowiedział prezydent.

I przed zakończeniem sessji wszyscy ministrowie przysięgą się zobowiązali do obrony Kameleoparda, i rozkazali podwoić straż przy nim.

Niestety! wkrótce ich obawy straszliwie się sprawdziły.

Następującego dnia, przy piérwszym brzasku, wszyscy uczeni podróżniki, na czele licznych tłumów, wpadli z wielkim gniewem do pomieszkania jurysty.

„Zdradziłeś przyszłe losy ojczyzny— rzekli— nie korzystając z przerażenia ministrów dla żądania od nich Kameleoparda, bez którego nowo-obrana królowa nie może się ukazać w przyzwoitym blasku!"

„Czyś nie wiedział może, że to misterne zwierzę jest najpiérwszym klejnotem korony państwa tego; że władca, który jego nie posiędzie, pozbawiony będzie wszelkiéj zbawiennéj rady, potęgi i zacności?"

Jurysta pobladł na te słowa, zadrżał i zawołał z żalem.

„Darujcie, przezacni bracia! W zapale moim wczorajszym o nowy wybór królowéj zupełnie mnie wypadła z myśli ta okoliczność nader ważna. Lecz nie lękajcie się— dodał śmiało — nic jeszcze niéma straconego. Natychmiast lećmy na zamek z orężem w ręku domagać się tego drogiego klejnotu; a kto nam opierać się ośmieli, biada temu!"

To wyrzekłszy, dobył szpady, a wypadłszy na ulicę do zgromadzonego tłumu, straszliwym zawołał głosem—

„Bracia! ministrowie nas łudzą —dozwolili niby na wybor królowéj, lecz Kameleoparda, to wspaniałe zwierzę, bez którego prawo do tronu zawsze będzie wątpliwém, chcą zatrzymać w swém posiadaniu!"

„Teraz więc jeszcze pora ocalić sławę naszéj nowo-obranéj królowéj—za mną więc bracia, na zamek!"

„Śmierć albo Kameleoparda!"

Tysiące głosów powtórzyło to straszliwe hasło, i z dobytym orężem wściekłe tłumy poleciały na zamek.

Filozofowie, słysząc zdala złowróżące krzyki, łacno się domyślili, jaki był cel tego nowego buntu. Mężnie więc postanowili bronić zamku wszelkiemi środkami, będącemi w ich mocy.

Broń palna wszelkiego rodzaju oddawna była wzbroniona w tym kraju, na mocy téj zasady, że tak gwałtownie zniewalające narzędzia nie są potrzebne w narodzie, gdzie panuje rozum czysty i rozsądek. Uzbroili więc naprędce w miecze i dzidy całą przyboczną straż królowéj.

Potężne bramy misternemi zamki opatrzone zawarli, a przed każdą z nich postawili rzędem dziesięć słoniów *syamskich*; na każdym z nich za małym *parapetem* siedziało pięć uzbrojonych walecznych wojowników. Lecz jakże oddać potrafię słowy to, co w téj straszliwéj nocy w méj duszy wrzało?

Najokropniejszemi uczuciami przez noc całą miotany, na piérwszy zgiełk powtórnego rokoszu zerwałem się z łoża i pobiegłem w ślad za burzącém się pospólstwem. Odżyła we mnie dawna miłość ku mojéj nieszczęśliwéj małżonce— grożące jéj niebezpieczeństwo powiększało ją w mém sercu.

Przybiegłszy na zamek, okropną zastałem bitwę. Gęsto strzelano z łuków na lud, co z orężem w ręku zapamiętale rzucał się do bram. Słonie wście-

kle od ran odebranych tratowały okropnie szeregi napierającego się motłochu.

Widziałem (dreszcz mnie kości przelatuje na to wspomnienie!) jak jedna z tych potężnych bestij, ująwszy w pół ciała zapamiętałego jurystę swą straszliwą trąbą, na sążeń go w górę, jak piórko, wyrzuciła, a potém go pochwyciła na okropne kły, na których cały krwią zbroczony, jak na dwóch palach, wbity zawisł, i konając i bluźniąc, jeszcze chrapliwym głosem wołał—

„Śmierć albo Kameleoparda!"

Już strumienie krwi lały się po ziemi. Kilku słoniów padło od powtórzonych ciosów napływającego gminu; lecz upadkiem swym wielu napastników przygniatając na śmierć, powiększyły zamięszanie, przytém ogromem cielsk swoich przystęp do bram niepodobnym uczyniły.

Niepomny już na grożącą mi śmierć tak od napadających tłumów, jako też od ministrów, którzy mi pod utratą życia zakazali ukazywać się przed królową, szczęśliwie przedarłem się ku téj stronie pałacu, w któréj nie było bramy, i która wolna była od napadu. Tam obiegając wszystkie okna i wytężając wzrok w nadziei, że w którém ujrzę znaną mi jaką osobę, coby doniosła o mojém przybyciu królowéj, posłyszałem nagle blizko siebie za wysokim murem krzyki i srogą bitwę. Był to ogródek Kameleoparda.

Filozof z góry wieżyczki, przeznaczonéj na jego schronienie, mężnym głosem wołał na nacierających — „Precz! łotry!" — a na swoich żołnierzy — „Brońcie Kameleoparda! — Ha! złodzieje! żywcem go nie dostaniecie."

Potém sam, jak wściekły, skoczył między walczących.

Wtém z jednego okna pałacowego przeraźliwe krzyki dały się słyszyć —

„Ratujcie królowę!"

Zadrżałem z boleści i biegłem, jak zapamiętały, w tę stronę pałacu, zkąd te straszliwe słowa mnie doszły. Ledwiem kilka kroków postąpił, inny niewymówny, do żadnego na świecie niepodobny głos, z góry schodzący, serce mi wskróś przeszył. Był to jakiś jęk łkaniem przerywany, mający cóś w sobie pospołu płaczu niemowlęcia i beczenia owcy. Podnoszę oczy — widzę w oknie okrągłém wieży jednéj odpowiedniéj wysokości rzewne oblicze mego nieszczęśliwego Kameleoparda.

Poznało mnie, dawnego króla swego, ślachetne zwierzę, i z żalu i miłości takim przenikliwym głosem przemówiło z swego więzienia! — Oczy jego czarne, łagodne, były pełne rospaczy, a dwa strumienie łez, jak u jeleni blizkich zgonu, płynęły po policzkach. Nigdy do śmierci tego rozdzierającego serce widoku nie zapomnę. Pojmuję odtąd, co się mu-

siało dziać w duszy Blondela, kiedy raz piérwszy nieszczęśliwego króla swego *Lwie Serce* *) postrzegł u okna więzienia.

Lecz krzyki wzywające na ratunek królowéj coraz były przeraźliwsze.

Bliżéj mnie po za murem szczęk oręża, konających jęki, coraz mocniejsze i bliższe wrzaski nacierających, przekonywały, że straż Kameleoparda wkrótce przemocy uledz musi.

W tém znowu dał się słyszeć wściekły głos rannego filozofa Niemca— „*Nieder mit der Bestie!* **) niech się nie dostaje w ręce naszych wrogów!"

Rozogniony najokropniejszą serca walką, w niepewności gdzie mam piérwéj jakikolwiek nieść ratunek: czy królowéj, czy nieszczęśliwemu Kameleopardowi?— postrzegłem zdala kilku rokoszan.

Jakaś ślepa rospacz mnie porwała— chciałem albo w ich krwi ugasić moję wściekłość, albo od ich oręża poledz i śmiercią waleczną wszystkie moje męki przeciąć. Dobywszy więc z pod płaszcza ukryty długi miecz . . . . . .

. . . . . .

. . . . . .

*) Ryszard, król angielski, sławny z swego męztwa bohatér w wojnach krzyżowych; ztąd przydomek jego *Coeur de lion*— Lwie Serce.

**) Zabić bestję!

Tu marszałek dworu P. Starościny Olbromskiéj wszedł do pokoju i poważnym ozwał się głosem — *Kolacja już nastole!* — a Szopowicz w mgnieniu oka złożył rękopism i powstał.

XVIII.

Wieczerza Pani Starościny Olbromskiéj.

XVIII.

Wieczerza Pani Staroścíny Olbromskiéj.

Marysia Starościanka z płaczem prawie krzyknęła — Ja nieszczęśliwa! przepadła historja Kameleoparda w najciekawszém miejscu. Ach! babuniu! ta nieznośna kolacja zgubiła mnie.—

— Moja panieneczko! — odpowiedziała poważnie uśmiechając się P. Starościna Olbromska — trzeba poczciwie dotrzymać warunków podanych przez zacnego naszego professora; inaczéjbyśmy na zawsze wiarę u niego stracili. — A Szopowicz na to — Przecież JW. Pani choć raz poparłaś stronę moję przeciw napaściom Starościanki.—

Starościna Olbr. W imieniu całego tego zacnego towarzystwa dziękuję ci, kochany Professorze, za przykładną twoję *pokutę*. Odbyłeś ją w sposób, który mnie przynajmniéj dziwnie ucieszył i oświecił w wielu rzeczach.

—Lecz i rozbior rozprawy przez Waszmości czytanéj jest nam wzbroniony podług jednego z Pańskich warunków.—

—Będziem więc milczeć o tém wiernie; a teraz proszę uniżenie wszystkich do kolacji.—

To wyrzekłszy, poszła wprzód, w towarzystwie X. Kustosza Kor. Sierakowskiego, bez podania mu ręki, wedle dawnego zwyczaju, pilnie postrzegając, ażeby X. Kustosz po prawéj stronie o krok przed nią postępował. Skinęła przytém na P. Starościnę Nowogródzką, aby mnie podała rękę. U stołu wskazała uprzejmie prawe krzesło obok siebie X. Kustoszowi Koronnemu, a mnie lewe. Sąsiadką moją była P. Starościna Czacka; przy niéj zaraz zajęli miejsca PP. Ż.... i Marcinkowski, a z strony X. Kustosza PP. Przybylski i Sołtykowicz. Marysia posadziła obok siebie ponurego Szopowicza.

Pani Starościna Olbromska, z zwykłą swą delikatnością chcąc oddalić umysły od uwag krytycznych, wszczęła pół głosem rozmowę z X. Kustoszem Koronnym o dziele jego architektoniczném, którego exemplarz w pyszném wydaniu miała sobie od nie-

go ofiarowany. Potém do mnie obróciwszy się, rzekła—

—Czy też Wacan poznałeś się w Karlsbadzie z owym okrzyczanym *professorem* Niemcem (nie wiém dobrze jak go zowią) autorem romansu pod tytułem: *Cierpienia* jakieś *Wertera młodego?* Jam go tego lata tylko zdala przy *Szpradlu* *) ujrzała, ale bynajmniéj nie byłam ciekawa jego znajomości—

—Sławnego Göthe nie zastałem już w Karlsbadzie— rzekłem— dopiéro w Egrze miałem zręczność poznania się z tym królem literatów niemieckich.—

JPan Marcinkowski z pewnym przyciskiem dodał— Göthe nigdy nie był professorem. Wielki ten genjusz jest radcą tajnym dworu Wejmarskiego, i szczyci się osobistą przyjaźną W. X. Wejmarskiego.—

Tak, tak— rzekła z surową twarzą Pani Starościna Olbromska— wiém ja, że jego partyzanci rozgłaszają o tych jego faworach dworskich; ale ja nigdy temu nie uwierzę, żeby tak mądry pan, jak W. X. Wejmarski, którego miałam honor poznać osobiście w Wersalu, przybrał sobie do rady jakiegoś mieszczuka literata, który całą jedną książkę napisał na zalecenie głupich miłostek, prowadzących do samobójstwa.—

—To fikcja poetyczna, JW. Pani!— odpowiedział uśmiechając się z litośną ironją Marcinkow-

*) Celniejsze źródło wod karlsbadzkich.

ski.— Wielki Göthe nie miał innego celu, tylko z całą mocą swego genjuszu ukazać światu burze nieszczęśliwych, wzniosłych dusz.—

—A pfe!! Panie Józefie!— przerwała mu z surowszą jeszcze twarzą Starościna Olbromska— Wacan nie chrześcjańskim językiem się odezwałeś. Godziż się nazywać poetyczną fikcją, co do rzeczywistego piekła prowadzi?— boć wiadomo, że ta niedobra książka nie jednego samobójcę utworzyła. Proszę Waszmości nie mówić mnie więcéj o tym Niemcu. Niech sobie będzie genjuszem i Radcą Tajnym, (czemu nie wierzę), nie wart on teki nawet nosić za naszym poczciwym Kochanowskim.—

Potém tabaki zażyła z małéj, okrągléj, złotéj tabakiereczki, z takim wyrazem twarzy, który wszystkim jaśnie zapowiadał, że w téj materji z Starościną niebezpiecznie daléj rozprawiać.— Nastąpiło krótkie milczenie.

Starościna Czacka zwróciła na inny przedmiot dyskurs, i poczęła mnie pytać o różnych swoich przyjaciółkach, które po jéj wyjeździe z Karlsbadu, źródła te odwiedziły tego lata. Ztémwszystkiém rozmowa u stołu dobrze się nie zawięzywała, i co chwila wątek jéj się rwał. Widać było, iż każdy pomimo woli był zajęty słyszaną niedawno rozprawą.

Dziekan Przybylski z opuszczoną brwią cóś sobie mruczał pod nosem, jak człowiek nawpół zaspokojony i nawpół zwiedziony w swém oczeki-

waniu. Sołtykowicz z słodką ironją ciągle się uśmiéchał. Na twarzach PP. Szambellana Ż.... i Marcinkowskiego wyraźny malował się niesmak. Między niemi następujące uwagi urywkowe pół głosem przelatywały— Niéma co mówić— prawdziwa to była i ciężka pokuta dla czytelnika i słuchaczów. —

—A cóż to za niesmaczna ramota! — rzekł już cokolwiek głośniéj zniecierpliwiony Szambellan — niezręczny paszkwil na uniwersytety i tegoczesne postępy oświaty!—

—Powiedz Pan raczéj— odpowiedział Marcinkowski— trywialna *pasquinada*, tém nieznośniejsza, że się ugania niezgrabnie za dowcipem i jakąś rubasznością.—

—*L'auteur se bat les flancs pour dire des bêtises**)— przerwał mu daléj Szambellan.— Cała ta brednia jest przytém w duchu zupełnie *ujemnym*, wyśmiewającym wszystko, co tylko jest ślachetném i szczytném, co jest cechą wszystkich *tuzinkowych* pisarzy— *mauvais genre et mauvais ton* **); i do tego jeszcze nieznośną *allegorją* ją upstrzył, najprozaiczniejszą formą kompozycji ze wszystkich, jakie tylko być mogą. Prawdziwy *koncept jezuicki*. Jakoż Teatyni u nas równie byli pocieszni literaci, jak Jezuici.—

Na tę dyskussję już zupełnie głośną zachmurzyło się czoło Szopowicza.

---

*) Autor sadzi się na głupstwa.

**) Zły rodzaj i niedobry ton.

Marysia Starościanka (z drwiarską minką) przerwała ją, mówiąc— Proszę Panów bardzo nie następować na królowę *modę* i na przecudnego Kameleoparda, bo ja jestem ich obrońcą *à la vie et à la mort* *). O kochany mój Kameleopardzie!— dodała klaszcząc radośnie rączkami— przedziwny jesteś!—

A Szopowicz z groźną twarzą na cały głos zawołał—

—Mościa Panno Starościanko! godziż się tak pogwałcać przepisane warunki!!—

Wszyscy w śmiech! A ponieważ wieczerza była już na ukończeniu, P. Starościna Olbromska uśmierzyła burzę Szopowicza, powstając z gośćmi od stołu.

Wkrótce potém z szczérym żalem serca pożegnałem tę wielce mi drogą i szanowną panią, a następującego dnia biegłem już pocztą po gościńcu lwowskim . . . . . .

. . . . . .

. . . . . .

. . . . . .

W kilka lat po tym wieczorze, w przejeździe przez Kraków odwiedzając Prof. Szopowicza, prosiłem go o pozwolenie mi kopji rozprawy Teatyna.

*) Obroncą na śmierć.

Chętnie mi jéj udzielił, wszakże tylko po to miejsce, w którém przerwaną została rozprawa kolacją Pani Starościny Olbromskiéj. Dalszego ciągu w żaden sposób nie mogłem od niego wymodlić. Ciągle mi się składał temi słowy— „Dość będzie Panu i tego *dzieciństwa* na pamiątkę mojéj pokuty"— i żadnych innych racij nie dobyłem z niego . . . . .

. . . . . .

. . . . . .

. . . . . .

Dziś, po kilkudziesięciu leciech, znalazłszy w staréj mojéj tece ten pocieszny rękopism, odczytałem go z uwagą i pomyślałem sobie:

Dobrześ powiedział, zacny Szopowiczu! — to wielkie dzieciństwo— i nic więcéj.

Koniec.

Biblioteka Wojsk. Arsen.

2449

Spis rzeczy.

Stronica.

I. Piérwszy wieczor 9
II. Drugi wieczor 27
III. Wstęp rozprawy 33
IV. Starożytne wojny w państwie obyczaju chrześcyańskiego 39
V. Poselstwo starego obyczaju do nowo-obranego króla państwa czystego rozumu 47
VI. Przygotowanie do wojny w państwie czystego rozumu 61
VII. Pospolite ruszenie państwa czystego rozumu przeciw obskurantyzmowi. Szyk bojowy wojska. 67
VIII. Biografja przecudnego Kamelcoparda . . 73
IX. Szyk bojowy wojska czystego rozumu. Postępy wojska. Słonie stają się przyczyną zamieszków w szykach 83
X. Dwór królowéj filantropji 91
XI. Powtórne większe zamięszanie w szykach czystego rozumu 99

Stronica.

XII. Stolica obyczaju chrześcjańskiego 109

XIII. Wtargnięcie wojska czystego rozumu do stolicy obyczaju chrześcjańskiego 117

XIV. Król czystego rozumu wyzywa przez posła na dysputę króla i cały naród obyczaju chrześcjańskiego 127

XV. Walna bitwa 147

XVI. Król czystego rozumu, pozbawiony tronu, opowiada swoje przygody na dworze starego obyczaju 177

XVII. Dalszy ciąg powieści króla wygnańca . . 197

XVIII. Wieczerza P. Starościny Olbromskiéj . . 215

BIBLIOTEKA NAUKOWA WAP
383241
12